

Karen Rose Smith

# Mądra decyzja

Tytuł oryginalny:

*Be My Bride?*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na dźwięk dzwonka serce Lauren MacMillan zabiło gwałtownie. Spojrzała jeszcze raz na dziewczynki, siedzące przy dzieciennym stolyczku. Jej bratanica, czteroletnia Lindsey, właśnie nalewała wymaginaną herbatkę do filiżanek dla lalek, natomiast druga dziewczynka, również czterolatka, poła pluszowego misia. Nosła imię Sara, miała ciemne, wijące się włosy i wielkie niebieskie oczy. Jak jej ojciec, Cody Granger. Takie same...

Cody był wspomnieniem, którego Lauren nie potrafiła wymazać z pamięci.

Znów rozległ się dzwonek.

- To na pewno tatuś - oznajmiła radośnie Sara. - Zaprosimy go na herbatkę.

Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej pragnęłaby Lauren, była herbatka z Codym Grangerem. Wiedziała, że wrócił do Birch Creek, otworzył praktykę lekarską i zamieszkał niedaleko braterstwa. Unikała go jak ognia.

Ponaglana niecierpliwym spojrzeniem Sary, wyszła z pokoju, przeszła przez hol i otworzyła drzwi. Poczula na twarzy mroźny podmuch lutowego powietrza, na podłogę spadło kilka płatków śniegu. Na jej widok powitalny uśmiech na twarzy doktora Grangera znikł jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki.

- Witaj, Lauren! Miło cię zobaczyć po tylu latach.

- Mnie również - bąknęła, czując, że niebieskie oczy Cody'ego zapierają jej dech. Tak jak kiedyś... Jednak szkolne czasy dawno minęły. Lauren, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech, otworzyła szeroko drzwi.

- Proszę, wejdz. Sara i Lindsey bawią się na dole. Kim nie czuje się najlepiej, musiałam ją zastąpić.

Cody przeszedł przez próg i poczekał, aż Lauren zamknie drzwi. Tak, teraz musiała się odwrócić. Spojrzała na niego.

- Sara i Lindsey zaprosiły dziś lalki na herbatę do salonu.

Szli razem przez hol, ramię w ramię. Kątem oka widziała ciemną marynarkę, czuła delikatny zapach męskiej wody.

- Co się dzieje z Kim?

- Ma zawroty głowy i mdłości - wyjaśniła krótko. - Leży w łóżku, dałam jej wody z sodą i sucharki.

Na widok ojca Sara wydała z siebie radosny pisk.

- Tatusiu, tatusiu, właśnie pijemy herbatkę! A ty chcesz?

- Dziękuję, skarbie, innym razem - podziękował, kucając koło małej i całując ją w główkę. - Jak udał się dzień?

- Najpierw bawiliśmy się z Lauren, potem rysowałyśmy, a kiedy Matt poszedł spać, bawiliśmy się w sklep.

- Czyli bardzo pracowity dzień!

- A moja mamusia jest chora! - obwieściła z dumą rudowłosa Lindsey.

- Tak, słyszałem od Lauren - przytaknął Cody. - Powiniennem zbadać twoją mamę, tylko pójdę do samochodu po torbę.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy Lauren zawołała:

- Poczekaj chwileczkę! A może Kim wcale nie zechce, żebyś ją badał?

- Dlaczego? - Zdziwiony Cody zatrzymał się w pół kroku. - Skoro już tu jestem? Może będę mógł jej pomóc i szybciej wstanie z łóżka.

Oczywiście, zachowała się jak kretyńka. Lauren czuła, że jej policzki płoną. Co ją podkusiło, aby palnąć taką głupotę?

No cóż, bardzo chciała, żeby Cody Granger jak najprędzej sobie stąd poszedł... Lecz on nie ruszał się z miejsca.

Zapatrzył się. Nie widział Lauren przez trzynaście lat. Stała teraz przy stole, szczupła i drobna, w niebieskich dżinsach i różowym sweterku. Z włosami, ściągniętymi w kucyk i zarumienioną twarzą bez makijażu, wyglądała jak dziewczynka.

- Przepraszam, oczywiście, masz rację. Lepiej pójdę uprzedzić Kim.

Wchodziła po schodach, czując na plecach jego wzrok. Tak, wszystko wróciło. Po schodach, z rozpaczą w sercu, szła szesnastoletnia dziewczyna. Ta rana wcale się nie zabiłniła. Cały czas była gdzieś na dnie, i teraz znów bolała jak dawniej. Kiedy jednak weszła na ostatni stopień, kazała zniknąć szesnastolatce. Teraz Lauren MacMillan jest dojrzałą i silną kobietą. A Cody Granger wkrótce wyjdzie z tego domu i znów zniknie z jej życia. Na zawsze.

Po piętnastu minutach Cody złożył słuchawki, wsunął je do czarnej, skórzanej torby i stwierdził, że Kim złapała wirusa, który krążył po okolicy już od kilku tygodni. Lauren asystowała podczas badania, wysłuchiwała diagnozy i natychmiast zbiegła na dół zobaczyć, co robią dzieci. Jej troska była w pełni uzasadniona, jednak Cody odniósł wrażenie, że Lauren opuszczała pokój z wielką ulgą.

Pochylił się nad torbą i wyciągnął z niej małe, płaskie pudełeczko.

- Weź teraz jedną tabletkę, potem zażywaj co cztery godziny, też po jednej - poinstruował Kim. - Na pewno pomoże na zawroty głowy.

Kim, tak samo rudowłosa jak jej córka, podziękowała bladym uśmiechem. Na tle białych poduszek piegi na mizer-

nej twarzy wydawały się ciemniejsze, a włosy jeszcze bardziej płomieniste.

- Za kilka dni na pewno poczujesz się lepiej.

- Ale ja już teraz chciałabym wyzdrowieć - powiedziała rozżalonym głosem. - Nienawidzę chorować.

- Niestety, moja miła! Trochę to potrwa.

Bardzo lubił Kim, swoją rówieśnicę, też tuż po trzydziestce, która od kilku miesięcy opiekowała się Sarą. Polecił ją Eli, dawniej kurator Cody'ego, a dziś przyjaciel, z którym wspólnie prowadzą praktykę lekarską. Kim od czasu do czasu pilnowała wnuczki Eliego i kiedy Cody, po przyjeździe do Birch Creek, szukał opiekunki dla Sary, Eli z czystym sumieniem ją poleciał. Nie tylko mieszkała bardzo blisko, ale miała też nadzwyczajny stosunek do dzieci i tryskała energią. Chwilowa niedyspozycja zupełnie wytrąciła ją z równowagi.

- Kim, rozchmurz się! Potraktuj to jako wypoczynek.

- Wolałabym wypoczywać na górskim stoku, szusując za Robem - powiedziała smętnym głosem, sięgając po szklanke. Wypiła parę łyżek i z ulgą opadła na poduszki. Nagle jej twarz ożywiła się. - Cody, chciałabym cię o coś zapytać. Nie obrazisz się?

- Naturalnie, że nie.

- Powiedz, co się właściwie dzieje między tobą a Lauren?

Był pewien, że Kim nic nie wie, bo zawsze była dla niego bardzo miła i serdeczna. Chyba że Rob coś powiedział.

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi, Kim.

- O to, że Lauren jest jakaś dziwna, zdenerwowana, zupełnie inna niż zwykle. Wydaje mi się, że to z twojego powodu.

- Chodziliśmy do tej samej szkoły - powiedział Cody najbardziej obojętnym głosem, na jaki go było stać.

- A więc znaliście się już dawniej?

Oczywiście, że tak! I na Boga, do dziś żałował, że ta znajomość skończyła się właśnie w taki sposób.

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiasz na ten temat z Lauren. Teraz lepiej powiedz, jak twoja głowa. Poprawiło się?

- Kiedy leżę bez ruchu, jest w porządku - zapewniła Kim. - Możemy spokojnie pogadać.

- Ale ja, niestety, muszę już lecieć. Pamiętaj, nie wolno ci wstawać z łóżka.

- Dobrze, panie doktorze - zgodziła się potulnie. - Aha, Cody! Nie martw się o Sarę. Jutro Lauren też przypilnuje dzieci.

Dzieci Kim, owszem, ale przecież Lauren nie ma obowiązku zajmować się jego córką.

- Porozmawiam z nią o Sarze. No, trzymaj się, Kim, i pamiętaj, jeśli gorączka nie spadnie, niech Rob koniecznie do mnie zadzwoni.

Schodząc po schodach, usłyszał głośny śmiech dzieci. Postawiwszy torbę pod wieszakiem w holu, gdzie wisiało jego okrycie, skierował się do kuchni. Drzwi były otwarte na oścież. Lindsey i Sara siedziały na podłodze i budowały wieżę z klocków, natomiast Lauren stała przy blacie kuchennym i przytrzymując jedną ręką dwuipółletniego Matta, usadowionego na jej biodrze, drugą próbowała rozerwać liść sałaty.

Cody pomyślał, że wiele by dał za to, żeby on i Lauren zostali przyjaciółmi.

- Chyba jest to niewykonalne - zażartował, zbliżając się do niej. Wyraźnie spłoszona spojrzała na niego, a potem wyżej podciągnęła Matta i znów zaczęła walczyć z sałatą,

- Matt po popołudniowej drzemce trochę marudzi i muszę go chwilę ponosić - powiedziała cicho. - Kolacja jeszcze nie jest gotowa, a Rob zjawi się lada chwila.

Na dźwięk swego imienia na wpół senny Matt podniósł główkę i zobaczywszy Cody'ego, wyciągnął do niego obie rączki.

- Czołem, kolego! - uśmiechnął się szeroko Cody, odbierając malca od Lauren. - Jak się spało? Dobrze?

Matt, kiwnąwszy główką, włożył paluszek do buzi i przytulił się do męskiego ramienia. Lauren nie kryła zdziwienia.

- Zwykle jest nieufny w stosunku do obcych.

- Ale ja nie jestem obcy, prawda, Matt? Zdażyliśmy się już zaprzyjaźnić - zażartował Cody, nie odrywając wzroku od Lauren. W tej ślicznej kobiecie trudno było rozpoznać okrągłą nastolatkę, która bardziej przejmowała się nauką, niż modą i chłopcami. Zmieniła się, ale to musiała być ta sama Lauren, która uśmiechała się jak nikt inny na świecie i której jasnobrązowe włosy połyskiwały jak złoto.

- Jutro też tutaj będę - odezwała się nagle Lauren, mieszając zawzięcie sos do sałaty. - Jeśli chcesz, możesz przywieźć Sarę.

Dlaczego nie odwraca się, dlaczego nie spojrzy na niego tymi swoimi wielkimi, brązowymi oczami? Tak, pamiętał, były jak lśniące kasztany.

- Mówisz serio?

- Oczywiście.

- Lauren...

Nie zauważył, kiedy jego dłoń powędrowała do jej łokcia. Dotknął gładkiej, ciepłej skóry. Szarpnęła się gwałtownie, jakby wbił jej w ciało tysiąc szpilek, a kasztanowe oczy spojrzały ostro.

- Cody, ja naprawdę się spieszę. - Zdecydowanym ruchem odłożyła łyżkę i podeszła do stołu. - Proszę, oto rysunki Sary. Może chcesz je zabrać ze sobą? - powiedziała sucho, wręczając mu kilka kartek. - Matt, chodź do cioci.

Czyli żadnych rozmów. Może tak będzie najlepiej? Przeszłości nie da się zmienić, ale można do niej nie wracać. Tak, jak nie wracał do przeszłości ojca. Eli Hastings zawsze powtarzał, że trzeba patrzeć przed siebie. Tak, teraz najważniejsza jest Sara i praca. Jeśli Lauren Mac Milian nie ma ochoty z nim rozmawiać, to trudno.

Odwrócił się bez słowa i podszedł do córeczki. Poderwała się natychmiast i podała małą, ciepłą rączkę. Tak, Sara jest teraz najważniejsza.

- Dzięki, Cody, że zbadaleś Kim - powiedziała uprzejmie Lauren, jeszcze mocniej przytulając Matta.

- Drobiazg. Gdyby coś się działo, dzwońcie. A więc do jutra.

- Tak, do jutra.

- Zwykle przywożę ją o wpół do ósmej.

- Zgoda, niech będzie wpół do ósmej.

Cody, nie puszczając rączki Sary, poszedł z nią do holu.

Włożył płaszcz, pomógł córeczce włożyć kurtkę. Wreszcie podniósł torbę i wyszli.

Przed domem czekał samochód, ale Cody go nie widział. Widział twarz Lauren. Obraz pozostał, nawet gdy zamrugał oczami. Tak nie powinno się dziać, pomyślał.

Kiedy zjawił się Rob, Lauren szybko podała kolację i upewniwszy się, że Kim miała wszystko, czego potrzebowała, wsiadła do samochodu i pojechała do siebie, na drugi koniec miasta. Resztę wieczoru zamierzała spędzić nad projektem ogrodu wokół nowego biurowca pewnej znanej firmy w Denver, tak znanej, że jeśli projekt zostanie przyjęty, na pewno posypią się nowe zamówienia i pozycja zawodowa Lauren bardzo się umocni. Na stole kuchennym czekała sterta kolorowych katalogów. Lauren przewracała



machinalnie sztywne kartki, wpatrując się w zdjęcia niewidzącym wzrokiem. Jej myśli były zupełnie gdzie indziej.

Dziś widziała się z Codym Grangerem.

Cody, po ukończeniu studiów medycznych i zrobieniu specjalizacji w Colorado Springs, wrócił do Birch Creek. Kim mówiła, że jego żona zmarła przed dwoma laty. Lauren nie interesowały szczegóły, bardzo jednak współczuła małej dziewczynce, na zawsze pozbawionej matki. Tego Lauren w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić. Zawsze miała kochających rodziców i brata, który czuł się bardzo odpowiedzialny za młodszą siostrę. Mimo to po ukończeniu studiów Lauren nie wróciła do rodzinnego domu. Chciała być całkowicie samodzielna i sama zbudować swoją przyszłość. Była pełna zapału i wiary we własne siły. Dzięki sukcesom odniesionym w college'u dawna nieśmiałość znikła.

Nareszcie, bo w szkole Lauren zawsze pozostawała w cieniu żywiołowych rówieśników. Specjalnie jej to nie przeszkadzało, tym bardziej że kiedy zaczęła przeistaczać się w kobietę, jej figura nieco się zaokrągliła. Sytuacja wcale nie była tragiczna, wystarczyło jednak, aby wbić sobie do głowy, że dziewczyna, która nie jest chuda jak patyk, nie ma u chłopców żadnych szans. Matka stanowczo zabroniła jej odchudzać się, kazała jeść normalnie, zapewniając, że wszystko się unormuje.

I faktycznie, na pierwszym roku studiów Lauren raptem odkryła, że zbędne kilogramy znikły, nowa fryzura znakomicie podkreśla rysy jej twarzy, a kierunek, który wybrała, jest pasjonujący. Po studiach podjęła pracę w firmie rodziców, czyli w Centrum Ogrodniczym MacMillanów, jednocześnie powoli wybijając się jako architekt zieleni.

Lauren znów zaczęła przewracać błyszczące kartki. Intensywnie wpatrywała się w perfekcyjnie wykonane zdjęcia

ogrodów i czekała na tę jedną iskierkę, rozpalając wyobraźnię, która podsunie pomysł, dzięki któremu panna MacMillan okaże się lepsza od innych.

Na dźwięk telefonu drgnęła. Może Kim poczuła się gorzej? Ku wielkiemu zdumieniu, w słuchawce usłyszała zderwowany głos Cody'ego.

- Lauren? Tu Cody. Mam dzisiaj dyżur pod telefonem, właśnie mnie wezwali. Podobno stan jest bardzo ciężki. Zwykle w takich sytuacjach ratuje mnie Kim, teraz dzwoniłem do innej opiekunki, ale nie ma jej w domu. Lauren, doskonale zdaję sobie sprawę, że mój telefon do ciebie jest zupełnie nie na miejscu, ale nie mam innego wyjścia. Czy nie mogłabyś przyjechać i posiedzieć z Sarą? Jest już po kolacji i wykąpana, trzeba tylko położyć ją do łóżka. Jeśli nie możesz przyjechać, to może przywiózłbym ją do ciebie? Nie wiem jednak, jak długo mnie tam zatrzymają. Lauren, słyszysz mnie?

Tak, miała pełne prawo odmówić, przecież problemy doktora Grangera nie muszą jej obchodzić. Ale co z małą? Cóż ona jest winna, że nie ma się kto nią zaopiekować?

- Będę za dziesięć minut.

- Domyślasz się, jak jestem ci wdzięczny. Oczywiście, ureguluję to...

- Nie przesadzaj, Cody. Chętnie posiedzę z Sarą i żeby uspokoić twoje sumienie, wezmę ze sobą robotę. Przecież szkicować mogę wszędzie.

- Dzięki, Lauren.

Wcale nie chciała, żeby jej dziękował. Robiła to dla dziecka. Powtórzyła to sobie jeszcze raz, kiedy wysiadała z samochodu na podjeździe przed domem Cody'ego. Znała ten budynek dobrze, oczywiście tylko z zewnątrz, bowiem Kim i Rob mieszkali dosłownie parę metrów dalej. Dom był ładny, piętrowy, o ciekawej architekturze, zbudowany z czerwonej

cegły, częściowo przykryty beżowym sidingiem. Miał krytą werandę od frontu i obszerny garaż na dwa samochody. Wchodząc na werandę, Lauren uśmiechnęła się mimo woli na widok dwóch par sanek, ustawionych porządnie obok siebie. Duże i małe, dla ojca i dla dziecka. Tak, Kim na pewno miała rację, twierdząc, że Cody jest nadzwyczajnym ojcem. Zresztą, najlepszym dowodem było zachowanie Sary. Widać było, że uwielbia ojca.

Zadzwoniła. Cody otworzył prawie natychmiast i Lauren uświadomiła sobie, że mężczyzna stojący na progu, w dżinsach i T-shircie, jest wyjątkowo wysoki, wspaniale umięśniony i nieskończenie męski. Przemknęła szybko obok tej męskości, rozebrała się w holu i razem z gospodarzem weszli do salonu. Na kanapie czekał mały człowieczek w piżamce, z książeczką na kolanach.

- Cześć, skarbie! Tatuś na pewno ci powiedział, że to ja dziś położę cię do łóżeczka, a potem popilnuję, dopóki tatuś nie wróci. Zgadzasz się?

- Tak - uśmiechnęła się promiennie dziewczynka. - Ale poczytasz mi?

- Tylko jedną bajkę! - włączył się natychmiast Cody, przykucając przy małej i całując ją w główkę. - Jedną, a potem spać! Pa, kochanie, naprawdę muszę już iść. Dobranoc!

- Dobranoc, tatusiu.

Cody wstał i z nieco krzywym uśmiezkiem spojrzał na Lauren.

- Niestety, moja córka przyzwyczajona jest do rozstań. Czasami mam wrażenie, że nawet woli, aby ktoś inny posiedział z nią wieczorem.

Lauren pomyślała, że jego życie z pewnością nie należy do najłatwiejszych.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała miękko. - Przeczytamy jedną bajkę i Sara pójdzie spać.

Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę.

- Proszę, tu jest numer pagera. Dzwoni, gdyby coś się wydarzyło.

- Dobrze.

Na moment ich spojrzenia spotkały się, potem Cody zdjął z oparcia krzesła czarną, skórzaną kurtkę, zrobił ręką pożegnalny gest i zniknął za drzwiami. Lauren schowała wizytówkę do kieszeni, uśmiechnęła się do Sary i usiadła na kanapie.

Dziewczynka, zachęcona uśmiechem, przysunęła się bliżej, a kiedy Lauren przygarnęła ją ramieniem, przytuliła się całym swoim ciepłym ciałkiem. Bawiąc się z dziećmi Kim i Roba, Lauren często zastanawiała się, kiedy i ona zostanie matką. Tak, chciała tego bardzo, ale było to tylko marzenie.

Teraz jednak, kiedy w pustym, cichym domu czytała bajkę małej, wtulonej w nią dziewczynce, poczuła, że jej marzenie przestało być marzeniem. Stało się potrzebą.

Gdy skończyły czytanie, Sara, która jak każde dziecko chciała odwlec chwilę pójsia do łóżka, bardzo grzecznie poprosiła o szklankę mleka.

- Chodź - powiedziała, biorąc opiekunkę za rękę. - Pokażę ci, gdzie jest kuchnia.

Przechodząc przez przestronne pokoje, Lauren pomyślała, że przede wszystkim wieje tu chłodem. Owszem, meble były piękne i solidne, na przykład dębowy komplet w jadalni: prostokątny stół, cztery krzesła i długi niski kredens. Mieszkanie na pewno urządzone ze smakiem. Zauważyła, że na wielkim oknie w jadalni, widocznym z salonu, wisi kunsztownie udrapowana zasłona, tak samo beżowa, jak cały salon. Brakowało jednak wazonów z kwiatami, obrazów, dywanii-

ków, czyli tego wszystkiego, co sprawia, że piękne, eleganckie wnętrza stają się przytulne.

W kuchni Sara szybciotko wdrapała się na wysoki stół przy blacie do spożywania posiłków, wyraźnie szykując się do dłuższej pogawędki. Lauren cierpliwie odpowiedziała na mnóstwo pytań, na które dziewczynka koniecznie już dziś musiała znać odpowiedź, w końcu jednak kubek był pusty. Wziąwszy się za ręce, powędrowały na górę. Pokój dziecka był równie spartański, jak pomieszczenia na dole. Łóżko, zasłane różowym kocem, skrzynia na zabawki i komódka. Na oknie żaluzje jak w biurze, na przeraźliwie białych ścianach żadnego obrazka.

Na komódce Lauren dostrzegła fotografię w ramce. Gretchen, matka Sary. Tak samo piękna jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Błękitnooka blondynka o delikatnych rysach. Szkolna sympatia Cody'ego. Czy Lauren mogła konkurować z najładniejszą cheerleaderką z całej szkoły? Tak, Cody miał piękną żonę i na pewno bardzo ją kochał. Ciekawe, czy nadal jest sam, przecież tak przystojny i wykształcony mężczyzna musi podobać się wielu kobietom.

Nagle, choć minęło już tyle lat, Lauren wydało się, że poczuła na ustach smak tamtych pocałunków. Pocałunków Cody'ego. Tych pierwszych, ostrożnych, potem coraz bardziej żarliwych...

- Czy mogłabyś zostawić światło w holu? - poprosiła Sara, gramoląc się do łóżka. - Tatuś zgasi, kiedy wróci.

- Oczywiście, kochanie - zgodziła się Lauren, otulając dziewczynkę kołdrą. - Zostawię też uchylone drzwi. Będę siedzieć na dole i rysować, ale jak mnie zawołasz, na pewno usłyszę.

- Dobrze - kiwnęła główką Sara i ziewnęła szeroko. - A możesz mnie teraz pocałować na dobranoc? Tatuś zawsze tak robi.

Lauren pochyliła się i pocałowała dziewczynkę w czołko.

- Śpij, skarbie!

Wróciwszy na dół, wyciągnęła z teczki szkicownik i wygodnie usadowiła się na kanapie, podciągając nogi. Tak, jeśli weźmie się do roboty, czas nie będzie się dłużył. I zapomni, że jest w domu Cody'ego Grangera.

Była już prawie północ, kiedy usłyszała szum podjeżdżającego samochodu, szcęknięły drzwi do garażu, chwilę potem słychać było kroki w kuchni. Lauren szybko spuściła nogi na podłogę i usiadła prosto.

- No i jak poszło? - spytał Cody, siadając ciężko na kanapie.

- Wszystko w porządku. Była tylko jedna bajka, potem Sara napiła się mleka i szybko zasnęła - zdała raport Lauren. - A jak twój pacjent?

- Niedobrze - odrzekł Cody zmartwionym głosem. - To starszy człowiek, ma poważne kłopoty z sercem. W ciągu ostatnich trzech miesięcy dwa razy był w szpitalu. Niestety, w jego płucach znów zbiera się płyn. Dziś udało się, ale tak naprawdę... to tylko kwestia czasu.

- Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz? - spytała cicho.

- No cóż, są dni lepsze i gorsze. Na szczęście na ogół udaje mi się pomóc pacjentom, a przynajmniej ulżyć. A kiedy jest naprawdę źle - smutne oczy Cody'ego ożywiły się - dosiadam mojego rumaka.

- Konia? Masz konia?

- Tak, mechanicznego! - zaśmiał się Cody. - Motocykl. Kupiłem go w zeszłym roku i jest to chyba najlepsza z moich dotychczasowych inwestycji. Jeździłaś kiedyś na motorze?

No tak, Cody zawsze był trochę szalony. W wywiadzie do gazetki szkolnej przyznał się, że miał już parę razy do czynienia z policją i gdyby nie Eli Hastings, jego kurator, nie wiadomo, jak ułożyłyby się dalsze losy niepokornego młodzieńca. Jednak dzięki Eliemu wyszedł na prostą. Nie tylko zabrał się do nauki, założył też drużynę futbolową i wstąpił do bractwa studenckiego.

- Na motorze? Nie, nigdy o tym nie myślałam - przyznała szczerze.

- Coś mi się wydaje, że dla ciebie to takie samo wariactwo, jak chodzenie po linie. A jednak motor jest chyba bezpieczniejszy.

Nie spuszczał z niej oczu. Lauren poczuła nieprzeparłą ochotę, by przysunąć się trochę bliżej. On chyba też, bo odległość między nimi dziwnie się zmniejszała.

- Jeśli chcesz, zabiorę cię kiedyś na przejażdżkę.

Głos Cody'ego był cichy, miękki i Lauren nagle pomyślała, że faktycznie, jazda na motorze musi być czymś cudownym. Uniosła twarz. Cody pochylił głowę.

Przez cały wieczór myślał o niej nieustannie. Była tak samo urocza, jak kiedyś, tak samo roztaczała wokół siebie atmosferę czegoś dobrego, czystego. Co przeżyła w ciągu tych trzynastu lat? Wtedy, kiedy siedzieli nocą w samochodzie, zapragnął jej. Powstrzymał się jednak, bo był już dostatecznie dorosły, aby zauważyć, że Lauren jest dziewczyną, która odda serce tylko jednemu mężczyźnie. A on, jeszcze roztrzęsiony po rozstaniu z Gretchen, wcale nie był pewien, czy jest właśnie tym mężczyzną. Nie wykorzystał Lauren i był to prawdopodobnie najszlachetniejszy czyn w jego życiu.

A teraz?

Teraz chciał być sam. Jego małżeństwo było wielkim nieporozumieniem, nauczyło go, że miłość może oznaczać ból. Dlatego, postanowił, twardo i na zawsze, że nikogo już kochać nie będzie. Tylko swoje dziecko.

Wstał.

- Naprawdę nie chcesz, żebym ci zapłacił?

Oczy Lauren, przed sekundą jakby trochę zamglone, znów zrobiły się tylko i wyłącznie uprzejme.

- Nie żartuj, Cody. To była dla mnie przyjemność.

Zerwała się z kanapy i szybko powkładała do teczki swoje katalogi, szkicownik oraz ołówki.

Zapragnął pobyc z nią choć minutę dłużej.

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Dziękuję, nie trzeba - powiedziała, zapinając kurtkę. -

A więc do jutra, u Kim.

Stanął w drzwiach i patrzył, jak szybkim, lekkim krokiem idzie do auta. Naprawdę chciał ją pocałować... Co za diabeł go opętał? Samochód ruszył, jeszcze przez chwilę widział tylne światła. Zamknął drzwi i przekreślił zasuwę. Nie, cokolwiek by go nie opętało, nie będzie po raz drugi igrał ze swym losem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Cody z Sarą zjawili się punktualnie o wpół do ósmej. Lauren przywitała małą bardzo serdecznie, natomiast wobec Cody'ego była po prostu uprzejma. On zresztą też, uznając w duchu, że tak jest najlepiej. Trudno jednak było nie zauważyć, że Lauren w obcisłym sweterku lilaróż wygląda niezwykle ponętnie, a jej włosy śliczną falą opadają na policzek.



Wieczorem, kiedy odbierał Sarę, wymienili tylko kilka uwag na temat dziecka i rozstali się chłodno, aczkolwiek bardzo uprzejmie.

W tej sytuacji wieczorny telefon od Lauren był dla Cody'ego absolutnym zaskoczeniem. Gdy zadzwoniła o ósmej, był przekonany, że panna MacMillan doszła do wniosku, iż ma ciekawsze zajęcia od piastowania dzieci, zwłaszcza doktora Grangera. Tymczasem Lauren przekazała krótki komunikat:

- Cody? Kim czuje się już lepiej, niestety, wirus dopadł Lindsey. Czy masz kogoś, kto jutro mógłby zająć się Sarą?

Ostatnie zdanie powiedziała takim tonem, jakby miał w zanadru cały zastęp wolnych opiekunek.

- Niestety, nie. Poczekaj, niech pomyślę... Są w mieście takie miejsca, gdzie można zostawić dziecko na cały dzień, nie wiem tylko, od której tam przyjmują. Muszę być w szpitalu z samego rana, jeden z moich pacjentów będzie operowany Nie, nie wiem, co mam robić. Lauren?

W słuchawce panowała cisza. Lauren odezwała się dopiero po chwili.

- Kim sugerowała - powiedziała powoli, jakby z ociąganiem - żebym to... ja posiedziała jutro z Sarą. U ciebie w domu.

Zrobiło mu się po prostu głupio. Przecież Lauren ma swój zawód, swoją pracę. I swoje życie.

- Nie chciałbym się narzucać, Lauren. Może uda mi się złapać którąś z pielęgniarek.

- Jesteś pewien? - spytała z powątpiewaniem. - Wiesz, Cody, wydaje mi się, że może rzeczywiście najlepiej będzie, jeśli przyjadę do ciebie. Ze względu na Sarę. Dziecko nie powinno odczuwać, że z jego powodu robi się zamieszanie. Jeśli chcesz, to przyjadę.

Oczywiście, że chciał. Zauważył przecież, jak jego córeczka lgnie do Lauren.

- Słuchaj, powiedz mi, tylko zupełnie szczerze, czy nie skomplikuje ci to życia? Może masz jakieś plany na jutro?

- Wszystko da się jakoś ułożyć - powiedziała dziwnie łagodnym głosem.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Jutro w ciągu dnia podzwonię, muszę znaleźć jakieś stałe zastępstwo Kim. Lauren, czy mogłabyś przyjechać o wpół do ósmej?

- Bez problemu. A więc jesteśmy umówieni. Dobranoc.

- Dobranoc! I jeszcze raz dziękuję.

Odłożył słuchawkę, a w uszach nadal słyszał dźwięczny głos Lauren. Słyszał ją i widział, ubraną w jasny sweterek. I jej jasnobrązowe włosy, zakrywające policzek. Znów przypomniał sobie, że kiedyś trzymał ją w ramionach. I całował. Patrzył na telefon. Czuł, że zaczyna już czekać na poranek, kiedy w jego domu znów zjawi się Lauren.

Sara była wniebowzięta, zastawszy rano w kuchni krzątającą się Lauren. Po całym domu rozchodził się smakowity zapach jajecznicy i Cody, który spieszył się bardzo, był niepokieszony, że ominie go wspólne śniadanie. Zwykle łykał byle co, a dziecku robił kaszkę. Niestety, byli też zbyt częstymi gośćmi w różnych pizzeriach i McDonalddie.

Wieczorem, kiedy wrócił do domu, Sara wystąpiła z petycją.

- Tatusiu, powiedz Lauren, żeby jeszcze została - prosiła ojca, szarpiąc go za rękaw. - Niech zje z nami kolację!

- To już postanowione - uspokoił ją ojciec. - Przyniosłem chińszczyznę dla trzech, powtarzam, trzech osób. Chyba że Lauren nie ma czasu...

Dla Sary nie miało to żadnego znaczenia.

- Lauren, musisz zostać. Pokażemy ci takie śmieszne patyczki do jedzenia. Proszę, nie idź!

Lauren uśmiechnęła się do małej, po czym spojrzała na Cody'ego.

- Zapraszamy cię oboje. Ja i moja córka.

- W takim razie zostaję - powiedziała, biorąc za rączkę dziecko - ale pod warunkiem, że rzeczywiście nauczysz mnie jeść tymi patyczkami.

- Tak, tak! - przytaknęła skwapliwie Sara. - Ja jeszcze dobrze nie umiem, ale tatuś cię nauczy, on wszystko potrafi.

Lauren została uroczyście posadzona za stołem, Cody nastawił wodę na ryż, wyjął z kredensu naczynia oraz chińskie pałeczki i nakrył do stołu. Sara chodziła za ojcem krok w krok, zdając mu szczegółowe sprawozdanie z całego dnia. Kiedy Cody sadził się na krzesło, jego kolano dotknęło nogi Lauren, która natychmiast się odsunęła. Wcale nie było mu z tego powodu przyjemnie. Potem otwierali pojemniczki. Cody zajął się kurczakiem na słodko-kwaśno, a Lauren kurczakiem lo-mein.

- Co słyhać u Kim?

- Czuję się już prawie dobrze - odpowiedziała Lauren, przekładając widelcem kurczaka na półmisek - ale, jak mówiłam, teraz chora jest Lindsey. Obawiam się, że nieprędko będziesz mógł tam zawieźć Sarę.

- Tak, to zrozumiałe. Dzwoniłem dziś w różne miejsca, jednak, szczerze mówiąc, nie udało mi się jeszcze niczego załatwić. Mam telefon do jednej pani, ale nie znam jej i powinienem najpierw z nią porozmawiać.

O tak, zbyt dobrze wiedział, że nie każda kobieta posiada w sobie czułość i troskliwość, którą należy dać dziecku, ale są też kobiety, od których promieniuje ciepło. Na przykład - Lauren. Tak, a on praktycznie był w sytuacji bez wyjścia...

- Lauren, mam do ciebie ogromną prośbę. Wiem, że masz swoją pracę, na pewno jesteś bardzo zajęta, ale... ale czy nie mogłabyś zająć się Sarą do końca tygodnia? Dopóki nie znajde kogoś, komu będę mógł zaufać.

Zajęta odlewaniem wody z ryżu, odstawiła garnek i spojrziała na rozmówcę z wielką uwagą.

- Dlaczego ufasz właśnie mnie?

- Przecież... przecież pomagasz Kim przy dzieciach, prawda? A poza tym widzę, że Sara przepada za tobą.

Zanim Lauren zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

Cody zerwał się z krzesła i podszedł do kredensu, na którym stał aparat.

- Słucham, Granger.

- Dobry wieczór, Cody! Tu Dolores. Masz trochę czasu?

No tak, Dolores de Witt. Matka Gretchen była ogromnie niezadowolona, że wyprowadził się z Colorado Springs, on zaś zrobił to celowo, pragnąc, aby jego córeczka chowała się jak najdalej od babki i nie wyrosła na egoistkę, jak jej matka.

- Jemy właśnie kolację.

- Zajmę ci tylko parę minut. Mam do ciebie prośbę, Cody. Już bardzo dawno nie widziałam Sary. Może przywiózłbyś ją do mnie na kilka dni?

Cody nie spuszczał wzroku z Sary i Lauren, które, chichocząc, usiłowały złapać palczkami śliski kawałek mięsa.

- Na kilka dni?

- Dlaczego nie? Przecież wiem, że bardzo dużo pracujesz. Powinieneś być zadowolony, że ktoś chce cię odciążyć.

Ostry ton Dolores i jakaś desperacja w jej głosie zaniepokoiły Cody'ego.

- Właśnie dlatego, że pracuję, nie chcę, żeby wyjeżdżała na dłużej. Cały wolny czas spędzam z dzieckiem. Ale obiecuję ci, że przejrzę grafik i na pewno do ciebie wpadniemy.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała długo czekać!

- Na pewno nie. Porozmawiam z Elim, może uda się to załatwić podczas któregoś z najbliższych weekendów.

- Gdybyś został w Colorado Springs, nie byłoby tego problemu!

- Ale nie zostałem, Dolores, i jestem bardzo zadowolony, że mieszkam w Birch Creek. Sara również.

- Przecież to dziura, Cody. Colorado Springs to co innego, tu jest o wiele więcej możliwości. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się stąd wyprowadziłeś.

- Moje korzenie są w Birch Creek.

- Korzenie! - prychnęła Dolores. - Całe życie uciekałeś przed tymi swoimi korzeniami, a nowe zapuściłeś właśnie tutaj. Ty i Gretchen należeliście do Colorado Springs. Powinieneś obejrzeć nowe skrzydło szpitala, jest już prawie gotowe. Ile razy tamtędy przechodzę, myślę o mojej biednej Gretchen, która włożyła w to tyle pracy.

No tak, i właśnie ta praca społeczna stała się kością niezgody w ich małżeństwie, ale Dolores, zachwycona córka, w ogóle tego nie widziała. Ona w ogóle była ślepa na wiele rzeczy.

Cody nie chciał jednak rozjątrzać teściowej.

- Kiedy będę w Colorado Springs, pójdę tam - obiecał.

- I zobaczymy się niebawem. Na pewno.

- Kiedy?

- Nie mogę podać terminu, dopóki nie porozmawiam z Elim. Dolores, a może ty wpadniesz do nas?

- Wykluczone! Nie mam zamiaru spotkać Davida ani kogoś z jego znajomych.

David de Witt, doradca finansowy, był byłym mężem Dolores. Po rozwodzie Dolores odczekała, aż Gretchen ukończy szkołę i przeniosła się z córką do Colorado Springs. Teraz oczywiście przesadzała, bo szansa, że natknie się na Davida, była raczej nikła. Birch Creek nie było znowu taką dziurą.

- Jak chcesz, Dolores. W każdym razie to trochę potrwa, zanim będziemy mogli przyjechać do ciebie.

- Trudno - odrzekła lodowatym głosem. - Sprawdź więc ten swój grafik i kiedy będziesz znał termin, daj znać. A tak na marginesie, to musimy w końcu poważnie porozmawiać na temat Sary. Zdaje się, że ty zapominasz, że jestem jej rodzoną babką.

Nie, nie zapominam, pomyślał gorzko. Także o tym, że Dolores chce, aby wszystko było po jej myśli. Jak Gretchen.

- Zadzwoń do ciebie za kilka dni.

Pożegnanie było krótkie i chłodne. Cody rzucił słuchawkę i wrócił do stołu. W milczeniu nałożył sobie ryżu i polał sosem. Czuł niepokój, bo ton Dolores nie wróżył nic dobrego.

- Czy to była matka Gretchen?

- Tak - przytaknął, zdając sobie sprawę, że przecież Lauren musiała słyszeć całą rozmowę. - Jak zwykle miała do mnie pretensję, że przeprowadziłem się do Birch Creek. A ja po prostu chcę, żeby Sara wychowała się w małym, spokojnym mieście.

- Może tęskni za wnuczką.

- Raczej uważa, że wychowa ją lepiej niż ja. A kiedy Dolores się uprze, to koniec.

- Myślisz, że będzie walczyła o prawo do opieki?

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Cody wcale nie był tego pewien, bo w głosie Dolores za dużo było desperacji. Nie chciał jednak roztrząsać tego tematu przy dziecku.

- No i jak, moja panno? - zagadnął z uśmiechem do Sary. - Nauczyłaś Lauren jeść jak Chińczyk?

- Tak, trochę nauczyłam - pochwaliła się dziewczynka. - Tatusiu, czy mogę teraz pooglądać kreskówki?

- Możesz - zgodził się Cody, spoglądając na zegarek. - Powiem ci, kiedy trzeba będzie wyłączyć telewizor.

- No dobrze - skrzywiła się Sara i pobiegła do salonu.

- Ograniczasz jej telewizję? - spytała przyciszonym głosem Lauren.

- Tak, wolę, żeby pobawiła się lalkami albo poukładała puzzle. A kiedy dni robią się dłuższe, po kolacji często zabieram ją na spacer.

- Jesteś dobrym ojcem, Cody.

- Nie jestem tego taki pewien - odrzekł skromnie, choć uwaga Lauren sprawiła mu niekłamana przyjemność.

- Chyba nie jest łatwo samemu wychowywać dziecko - stwierdziła z zadumą Lauren, jednak Cody nie podjął tematu. Jego myśli były zaprzątnięte już czymś innym. Kiedy patrzył na nieskazitelną twarz Lauren i wdychał leciutki zapach jej perfum, skomplikowane problemy samotnego ojcostwa chwilowo schodziły na dalszy plan.

Odłożył pałeczki, chiński specjał przestał mu smakować. Czuł, że rośnie w nim ogromny apetyt na tę uroczą kobietę, która siedziała w zasięgu jego ręki. Tak, znów go opętało, i ten diabeł był od niego o wiele silniejszy. Pochylił głowę, jego dłoń wsunęła się delikatnie pod włosy Lauren.

Błyskawicznie wstała, gwałtownie odsuwając krzesło.

- Nie, Cody, tak nie może być! Musisz sobie znaleźć kogoś innego do Sary.

- A co to ma wspólnego z dzieckiem?

- No tak, z samym dzieckiem nic, ale... - głos Lauren załamał się - ... ale z jego ojcem. Ja niczego nie zapomniałam, Cody.

Powiedziała to z takim bólem, że przeraził się. Jeśli bolało do dziś, to znaczy, że ten ból trwał całe trzynaście lat.

- Nie potrafię udawać, Cody, że jesteśmy przyjaciółmi lub że kiedykolwiek łączyła nas przyjaźń.

Przemknęła przez salon tak szybko, że Sara, wpatrzona w ekran, niczego nie zauważyła. Przez ułamek sekundy Cody chciał biec, zatrzymać Lauren. Ale po co? Przeszłości nie da się zmienić. Był naiwny, kiedy sądził, że czas zabił ranę. Czas niczego nie uleczył i najlepszą rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, to zostawić tę kobietę w spokoju.

- Tatusiu, jak długo tu będziemy? Czy mogę pójść do Nancy?

Cody z westchnieniem wyłączył dyktafon. Chyba po raz dziesiąty. Niestety, nie znalazł nikogo do Sary i musiał ją zabrać ze sobą. Teraz chciał nagrać informacje o stanie pacjentów, a Sara miała przykazane choć przez chwilę zająć się układanką. Problem polegał na tym, że u dziewczynki chwila trwała zaledwie dwie minuty.

- Nancy ma dzisiaj dużo pracy. Może teraz porysujesz?

Z torby, wyładowanej rzeczami małej, wyciągnął kredki i książeczkę do kolorowania, i z cichą nadzieją, że przynajmniej przez kwadrans będzie spokój, usadowił Sarę na podłodze koło okna. Na próżno jednak usiłował sobie przypomnieć, w którym miejscu skończył nagrywanie. Tak naprawdę, to w ogóle trudno mu się było skupić. Nie tylko przez Sarę. Przede wszystkim przez Lauren.

Dobrze pamiętał ten dzień, kiedy Gretchen z nim zerwała.



- Trudno, Cody - powiedziała z rozbijającym uśmiechem. - Będziemy teraz oddaleni od siebie o dziesiątki kilometrów, a więc nie ma sensu ciągnąć tego dalej. Nie możesz wymagać ode mnie, bym żyła jak zakonnica.

Nie mogła sprawić mu większego bólu. Spotykali się od ponad pół roku i Cody, choć rodzice Gretchen, ludzie bardzo zamożni, nie byli nim zachwyceni, zaczynał już marzyć o wspólnej przyszłości. Gretchen nie przejmowała się rodzicami. Ona i Cody stali się nierozłączną parą. Chodzili razem na imprezy, on był dla niej najlepszym piłkarzem wszech czasów, ona dla niego najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Był szczęśliwy, że ma kogo kochać.

W jego życiu dotychczas była pustka. Kto miał ją wypełnić? Ojciec, który prawie nie wychodził z więzienia? Matka, która zapracowywała się na śmierć, aby zapewnić im dach nad głową? Kiedy spotkał Gretchen, wydawało mu się, że dzięki niej pozbędzie się wreszcie uczucia samotności, które towarzyszyło mu przez całe życie.

Minęło jednak pół roku i oto dowiedział się, że już nie wystarcza dziewczynie, ponieważ ona chce rozwinąć skrzydła. Dlaczego był wtedy taki ślepy? Dlaczego jej wtedy nie przejrzał? Nie. On tylko cierpiał i usiłował siebie przekonać, że zerwanie było nieuniknione.

Wtedy zjawiła się Lauren. Przyszła do niego i nieśmiało poprosiła, czy nie mógłby udzielić wywiadu do szkolnej gazetki. Miała szesnaście lat, była urocza i delikatna, działała jak balsam na jego zdruzgotane ego. Dlatego zapragnął jej towarzystwa, a nawet zaprosił na swój bal maturalny. Pamiętał błysk w jej oczach, najpierw niedowierzania, potem wielkiej radości. Przyjęła zaproszenie. Zaczęli się spotykać. Jej pocałunki były słodkie i musiał bardzo uważać, aby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli.

Do balu zostało jeszcze kilka dni. Był piękny majowy dzień. Stał z chłopakami pod szkołą i pstrykali sobie zdjęcia na pamiątkę. Nagle zobaczył Gretchen. Zapytała, czy mogą porozmawiać. Skryli się w cieniu wielkiego klonu, rosnącego na dziedzińcu szkolnym.

- Pomyliłam się, Cody - powiedziała Gretchen, znów z rozbrajającym uśmiechem. - Niepotrzebnie spotykałam się z innymi. Liczysz się tylko ty.

Nie spytał, dlaczego zmieniła zdanie, bo zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się całym ciałem i jego osiemnastoletni temperament kazał mu odpowiedzieć żarliwie na pocałunek. Nagle usłyszał krzyk Barry'ego.

- Cody! Poluzuj!

Spojrzał znad ramienia Gretchen. Prosto w szeroko otwarte oczy Lauren. Najpierw było w nich bezbrzeżne zdumienie, potem ból, a wreszcie rozpacz. Odwróciła się i pobiegła przed siebie. Chciał biec za nią, ale ręka Gretchen jak kleszcze zacisnęła się na jego ramieniu.

- Zobaczymy się wieczorem? - spytała przymilnie.

- Dobrze, dobrze - rzucił pospiesznie i ruszył w pogoń. Słyszał gwizdy i śmiech. Dla kumpli musiało to być niezłe widowisko, kiedy tak leciał jak wariat. Dopadł ją w końcu, zagroził drogę.

- Lauren, musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym - powiedziała, dumnie unosząc brodę. W jej oczach błyszczały łzy. - Jeśli chcesz iść na ten bal z Gretchen, to bardzo proszę. Ja rezygnuję.

- Ale ja chcę iść z tobą!

Lauren jeszcze mocniej przytuliła książki do piersi i potrząsnęła głową.

- Nie, Cody, nie chcę, żebyś szedł ze mną... przez grzeczność. Idź z Gretchen i bawcie się dobrze.

Wiedziała, że nie da rady go ominąć. Nie przepuści jej.

Skręciła więc w lewo, weszła na jezdnię i nie zważając na trąbiące samochody, przeszła na drugą stronę. Następnego dnia czatował w szkolnej szatni, przy jej szafce. Nie przyszła. Dzwonił do domu, za każdym razem mówiono, że Lauren nie ma. W końcu dotarło do niego, że nie chce się z nim widzieć. Natomiast Gretchen skrupulatnie pilnowała, aby od tej pory, przez cały okres jego studiów, widywali się regularnie. Kilometry, o dziwo, nie były teraz przeszkodą, ale nie pozwoliły mu poznać Gretchen naprawdę. Nie dowiedział się wtedy, że wychodzi za niego, ponieważ zależy jej wyłącznie na tym, by zostać żoną doktora i że wcale nie chce być matką.

- Tatusiu, pójdziemy teraz do Nancy?

- Dobrze, tylko pokoloruj jeszcze jeden obrazek.

- Jeszcze jeden?

- Tak, kochanie.

Kiedy dziewczynka posłusznie zajęła się rysowaniem, Cody zadzwonił do informacji i poprosił o pewien numer. Po-tem zadzwonił jeszcze raz.

- Centrum Ogrodnicze MacMillan, słucham.

Od razu poznał łagodny, melodyjny głos Lauren.

- Lauren, to ja, Cody.

Cisza.

- Lauren, wybacz mi.

Znów cisza. Potem ledwo dosłyszalne pytanie:

- Co mam ci wybaczyć?

Pomyślał, że Lauren sądzi, że przeprasza ją za wczoraj, kiedy próbował ją pocałować.

- Wybacz mi to, co stało się wtedy, w szkole. Że zrezygnowałem, nie próbowałem cię przekonać, żebyś poszła ze mną na ten bal. I że do dzisiaj tego nie wyjaśniłem.

- Co tu wyjaśniać, Cody...

- Ja naprawdę nie chciałem cię zranić.

Nie zauważył, kiedy podeszła Sara.

- Tatusiu, popatrz, piłka! - wołała dziewczynka, machając mu przed nosem naprędce pokolorowanym obrazkiem.

- Już narysowałam. Możemy teraz iść do Nancy?

- Jesteście w domu? - zdziwiła się Lauren.

- Nie, w pracy - przyznał niechętnie. Nie chciał przecież, aby pomyślała, że dzwoni do niej z tego właśnie powodu.

Lauren milczała. Siedząc za swoim biurkiem w Centrum, toczyła zaciekle spór z samą sobą. Wczoraj wieczorem zadzwoniła Kim, ciekawa, jak Lauren poradziła sobie z Sarą. Zaintrygowana lakonicznymi odpowiedziami szwagierki, nie wytrzymała:

- Lauren, widzę przecież, że między tobą a Codym jest coś nie tak. Usiłowałam przycisnąć Roba, ale powiedział, że mam zapytać ciebie. Możesz mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Żona brata była jak siostra i zamartwiała się jak siostra. Lauren opowiedziała więc o balu, o Gretchen i o pocałunku pod klonem. Kim była wstrząśnięta.

- Takich rzeczy kobieta nie zapomina! - powiedziała dramatycznie.

A teraz Cody prosi o wybaczenie. Szczerze. Na pewno. Mogła sobie doskonale wyobrazić, ile go to kosztowało. Może więc nadeszła pora, aby wybaczyć i wreszcie zapomnieć o tym, co stało się trzynaście lat temu?

- Cody przyjmujesz dzisiaj?

- Tak, pierwsza osoba wchodzi za pół godziny.

- Może chcesz, żebym wpadła po Sarę? I tak miałam teraz wyjść, kupić coś do jedzenia. Jestem dziś zupełnie sama. Rob pojechał do Denver, rodzice przyjmują dostawę.

Pokażę małej cieplarnię, nauczę nazw kwiatów. Myślę, że to będzie dla niej bardzo ciekawe.

- Lauren - powiedział cicho. - Przecież ja dzwonię nie dlatego...

- Wiem, Cody. Nie mówmy już o tym. Przyjść po Sarę? No, chyba że potrzebujesz asystentki, która z radością zajrzy komuś do gardła albo do ucha, a kiedy będziesz mierzył ciśnienie, na pewno zachce jej się pić.

- Nie strasz - jęknął i w tej samej chwili Sara, przytulona do jego kolan, przypomniała o swojej obecności:

- Tatusiu! Chce mi się pić!

- Już, kochanie, idziemy do lodówki, Nancy ma tam zawsze jakiś sok. Lauren? - zawahał się jeszcze przez moment.

- Mówiłaś serio?

- Naturalnie! Będę za kwadrans.

Po piętnastu minutach witała się już z Nancy, sekretarką medyczną Cody'ego i Eliego. Znały się bardzo dobrze, ponieważ Eli od lat był lekarzem rodzinnym wszystkich Mac-Millanów.

- Cody jest z Sarą w pokoju służbowym, na końcu korytarza - poinformowała Nancy. - Małej chciało się pić.

Lauren powędrowała więc na koniec korytarza. Kiedy otworzyła drzwi, twarzyczka Sary zajaśniała radością.

- Lauren!

- Cześć, Saro! Chciałam zabrać cię na wycieczkę do krajiny kwiatów. Masz ochotę?

- Ojej! Pewnie! - ucieszyła się dziewczynka i spojrzała błagalnie na ojca. - Tatusiu, mogę?

- Możesz, możesz.

- Wezmę kredki, dobrze?

- Biegnij do gabinetu i przynieś je.

Kiedy dziewczynka pomknęła przez korytarz, spojrzeli na siebie.

- Wiem, że nie powinienem tego robić przez telefon.

- Cody, naprawdę wszystko w porządku.

- Bardzo chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Sara cię uwielbia. Kim jest wspaniała, ale ma dwójkę dzieci, a dla Sary to bardzo cenne, jeśli będzie mogła czasami pobyc z kimś, kto całkowicie poświęci jej swoją uwagę.

Wyglądało na to, że Cody przede wszystkim chce, aby zaprzyjaźniła się z jego córeczką. Nic nie szkodzi. Taka słodka dziewczynka. A jednak... Stojąc w cieniu wysokiej, barczystej postaci, czując zapach jego wody, zapagnęła przysunąć się bliżej i odgarnąć ciemne włosy, opadające na czoło... Niestety, zdaje się, że przyjaźń z małą słodką dziewczynką stwarzać będzie pewne komplikacje!

- Obiecałem ci przejażdżkę na motorze. Reflektujesz?

- Jasne.

Roześmiała się w duchu. Ona, rozsądna i uporządkowana Lauren, popełnia dziś jedno szaleństwo za drugim. A może po prostu idzie za głosem serca? Nagle poczuła, że czyjaś dłoń delikatnie dotyka jej policzka.

- Lauren MacMillan, jesteś kobietą nadzwyczajną!

Jednocześnie usłyszeli tupot czteroletnich nóg.

- Jestem gotowa! - krzyknęła Sara, wbiegając w podskokach do pokoju. - Idziemy?

Lauren uśmiechnęła się do małej i wzięła ją za rączkę.

Tak, teraz skoncentruje się na małej. A potem... potem rozważy wszystkie za i przeciw przyjaźni z dawnym asem szkolnej drużyny futbolowej, który trzynaście lat temu skradł jej serce i boleśnie zranił jej dumę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Lindsey poczuła się lepiej, wirus dopadł trzecią z kolei ofiarę - małego Matta. Cody znów był w kropce i w rezultacie Lauren cały piątek spędziła z Sarą. Robiła to z przyjemnością, bo opieka nad Sarą stała się jednym z jej najmilszych zajęć. O zapłacie w ogóle nie chciała słyszeć i Cody, czując się zobowiązany, zaprosił obie panie do restauracji. Podczas obiadu ujawniły się wszelkie niedogodności, związane z przyjaźnią z małą dziewczynką. Naturalnie, dotyczyły one jej ojca. Rozmowa między Codym a Lauren toczyła się gładko, nie brakło jednak chwil pełnego zakłopotania milczenia, kiedy spotkały się ich spojrzenia, a już najgorzej, kiedy przypadkiem zetknęły się ręce...

Rozmawiali dużo o oczku wodnym w ogrodzie za domem. Cody prosił Lauren o zrobienie projektu, zdecydowała więc, że jadąc do domu, wpadnie po drodze do firmy, by zabrać katalogi.

Podjeżdżając pod centrum, zauważyła na parkingu minicieżarówkę swego brata. Światło w biurze było zapalone. Rob siedział przed komputerem i zdziwił się bardzo na widok Lauren.

- Co cię tu przygnało?
- Przyszłam po katalogi - wyjaśniła, podchodząc do półki z książkami. - Jak się czuje Matt?
- Już o wiele lepiej.
- A ty, co tu robisz o tej porze?
- Ojciec prosił, żeby wpisać faktury. Wcześniej nie miałem czasu, a przecież jutro są walentynki!

Walentynki. Nie kończąca się kolejka klientów, ustawiających się po kwiaty w doniczkach, ozdobionych serduszkami

mi i maleńkimi amorkami. Tego dnia gotówka wpływała do kasy nieprzerwanym strumieniem. Walentynki, czyli Dzień Świętego Walentego, patrona zakochanych. Nagle Lauren zapragnęła, aby ten dzień nie kojarzył się jej wyłącznie z pieniądze, ale z czymś romantycznym, tak jak to właściwie powinno być...

- Lauren! Kim mówiła, że znowu pilnowałaś dziecka Grangera.

No tak, przed starszym bratem jak zwykle niczego nie da się ukryć.

- Owszem, pilnowałam, u niego w domu - powiedziała jakby mimochodem, nie odrywając się od książek. - Potem poszliśmy razem na obiad. Cody chciał się zrewanżować.

- To wszystko?

- Oczywiście - skwitowała, wzruszając ramionami.

- Coś mi się wydaje, że na tym się nie skończy. I ty sama dobrze o tym wiesz.

- Może.

- Lauren, przecież on kiedyś wyrządził ci wielką krzywdę.

- Trudno. Byliśmy wtedy oboje bardzo młodzi.

- No cóż, to fakt. Może nawet nie zdawał sobie sprawy, co ci zrobił.

- Nie, Rob! - powiedziała bardzo dobitnie Lauren. - Ja sama sobie to zrobiłam. Nie docierało do mnie, że on tak naprawdę zajęty jest Gretchen.

Rob nie rezygnował.

- To wszystko jest co najmniej dziwne - powiedział wyraźnie podenerwowanym głosem. - Jeszcze parę dni temu wydawało się, że absolutnie nie chcesz mieć z tym facetem do czynienia.

- Cody przeprosił mnie za to, co się wtedy stało.



- Chyba trochę za późno. Lauren, nie chcę wtrącać się do twojego życia, ale proszę, nie zapominaj chociażby o tym, że jego żona umarła dopiero dwa lata temu.

- Dwa lata to kawał czasu.

- Może tak, może nie. W każdym razie bądź ostrożna. Ostatnio coś za bardzo znów polubiłaś tego faceta, a on już kiedyś zalazł ci za skórę.

- Och, przestań, Rob - zniecierpliwiła się Lauren. - To było tyle lat temu.

- Właśnie. Wtedy prawdopodobnie po raz pierwszy naprawdę ci na kimś zależało. I, o ile się nie mylę, po raz ostatni.

Nie mylił się. Lauren, owszem, chodziła czasami na randki, a z Craigiem Davisem, architektem, spotykała się nawet przez kilka miesięcy, jednak żadnego mężczyzny nie obdarzyła głębszym uczuciem. Może rzeczywiście to ten uraz sprzed lat? Czyżby starszy brat miał rację?

- Nie martw się o mnie, Rob. Jestem już dorosła.

- Miejmy nadzieję - mruknął, odwracając się znów do monitora.

Lauren spojrzała w okno na wieczorne słońce skrywające się za potężnymi sylwetami świerków. Miała za sobą pracowity dzień. Cały klan MacMillanów związał się jak w ukropie, usiłując dogodzić walentynkowym klientom. Wróciła do domu zmęczona, ale w dobrym nastroju i odsapnąwszy nieco, siadła nad projektem. Wkrótce zapomniała o bożym świecie. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, zawołała odruchowo, że otwarte, i dalej wpatrywała się w szkic.

- Witaj, Lauren.

Na progu stała wysoka postać w dżinsach i czarnej, skórzanej kurtce. Cody. Z podejrzenie rozwianą czupryną i bardzo niepewnym uśmiechem.

- Obiecałem ci przejażdżkę.
- Teraz?!

Niepewny uśmiech Cody'ego zmienił się w uśmiech zachęcający.

- Wieczór jest wymarzony do jazdy.
- A gdzie Sara?
- Udało mi się w końcu znaleźć kogoś, kto będzie zastępował Kim.

Lauren zdała sobie nagle sprawę, że Cody cały czas stoi na progu.

- Proszę, wejdź do środka!
- A może ty... wyjdiesz?

Spojrzała jeszcze raz na rozwianą czuprynę.

- W porządku, wychodzę. Tylko znajdę klucze. Czy mam zabrać coś ze sobą?

Wzrok Cody'ego prześlizgnął się po szczupłej postaci i zarejestrował czerwony sweterek, dżinsy i adidas.

- Weź jeszcze kurtkę.

Posłusznie zdjęła okrycie z wieszaka, Cody cierpliwie poczekał, aż zamknie drzwi, i wyszli na dwór. Na widok wielkiego, lśniącego motocykla musiała jednak zrobić bardzo niewyraźną minę, ponieważ Cody poczuł się w obowiązku dodać jej otuchy.

- Na pewno będziesz zadowolona. Zaufaj mi.

Zaufaj mi. Czy chodzi mu tylko o tego potwora na dwóch kółkach?

- Mimo wszystko, powinnam chyba nałożyć kask.
- Naturalnie.

Sięgnął po jeden z błękitnych kasków, wiszących na kierownicy, i ostrożnie nałożył go na głowę Lauren. Nic się nie działo. Ale kiedy zapinał cienki paseczek pod brodą i jego dłoń musnęła jej policzek, musiała wstrzymać oddech.

- No, to w drogę - zakomenderował, wsiadając na motocykl. - Wskakuj!

Lauren ostrożnie usadowiła się na tylnym siodełku, nie wiedząc, czy czuje dreszcz emocji z powodu piekielnej maszyny, czy imponującej szerokości pleców Cody'ego, które nagle wyrosły tuż przed nią.

Szybko udzielił jej ostatnich wskazówek:

- Kiedy ruszę, złap się mocno i nie puszczaj. Gdybyś czegoś chciała, stuknij mnie w plecy.

Motocykl zaryczał i ruszył, a serce Lauren podskoczyło do gardła. Plecy Cody'ego przestały wywoływać dreszcz emocji, stały się natomiast ostatnią deską ratunku. Po chwili jednak uczucie panicznego strachu znikło. Tak. Bo oni - fruwały. Motocykl jak szalony gnał gładką drogą. Wiatr smagał policzki, a świat przesuwał się obok w zawrotnym tempie. Poczwała się wolna. Wolna, jak nigdy dotąd.

Za miastem Cody skręcił w boczną drogę, biegnącą przez sosnowy las. Potem minęli pola, pokryte jeszcze śniegiem, i pędzili dalej, w kierunku samotnego domu na skraju pól. Był to piękny stary dom z kamienia. Cody wjechał na parking i wyhamował.

- Myślę, że należy ci się chwila wytchnienia - stwierdził z uśmiechem, zdejmując kask. - Jakie wrażenia?

- Cody, było cudownie!

- Wierzę, bo nie słyszałem okrzyków przerażenia - żartował. - Plecy też mam całe.

Lauren zeskoczyła z motocykla i spojrzała na ciche śnieżne połacie pól, na rozgwieżdżone niebo.

- Wiesz, Cody, miałam uczucie absolutnej wolności, ode-  
rwania się od wszystkiego. Ten pęd, ten wiatr...

- I o to właśnie chodzi - przytaknął. - Mówiłem ci, kie-  
dy jestem w dołku, wystarczy, że sobie pojeżdżę i znów po-  
trafię spojrzeć na wszystko z dystansem. Motor to świetna  
rzecz.

Mały parking zastawiony był szczelnie samochodami. Ko-  
ło wysypanej żwirem ścieżki, prowadzącej do domu, Lauren  
zobaczyła kolorowy szyld.

- O, to ten zajazd „Pod Latarnią”? Słyszałam, że jest tu  
bardzo przyjemnie - ucieszyła się Lauren. - Podobno prowa-  
dzi go jakieś małżeństwo z Denver.

- Tak, i podają świetną kawę z ekspresu oraz gorącą cze-  
koladę. Mają tu restaurację i gabinety z kominkami. Sama  
zresztą zobaczysz.

- Wpuszczą nas? W takich strojach?

- Oczywiście, tu każdy wchodzi w tym, w czym jest -  
uspokoił ją Cody, odbierając od niej kask i wieszając obok  
swojego na kierownicy.

W środku było ciepło i bardzo przytulnie. Przywitała ich  
młoda dziewczyna w aksamitnej długiej spódnicy i białej  
bluzce z żabotem, życząc miłych walentynek.

- Czy macie wolny stolik dla dwóch osób? - spytał Cody.

- Niestety, w tej chwili wszystko jest zajęte. Ale może  
państwo poczekać w gabinecie, a ja podam coś do picia.

- Dla mnie gorącą czekoladę - poprosiła Lauren.

- W takim razie - zadysponował Cody - dwie gorące  
czekolady do gabinetu.

Kelnerka przeprowadziła ich przez ciemnawy hol i otwo-  
rzyła drzwi do niewielkiego gabinetu, wystylizowanego na  
dziewiętnastowieczny salonik. Ściany oklejone były staro-  
świecką tapetą w wielkie róże. W kominku płonął ogień, na

grubo ciosanym kamiennym gzymsem poustawiano stare butelki różnej wielkości i kształtu. Na ścianie nad gzymsem wisiał wieniec w kształcie serca, spleciony z gałązek winorośli. W pokoju stały dwie staromodne sofki, obite ciemnozielonym, wytłaczanym aksamitem, i kilka stolików otoczonych krzeselkami o wygiętych oparciach. Na marmurowych blatach stolików rozłożono stare książki, oprawione w skórę.

- Jak tu nastrojowo - zachwyciła się Lauren.

- Miałem nadzieję, że spodoba ci się.

Lauren rozpięła suwak i Cody odebrał od niej kurtkę. Okrycia zawisły na staromodnym, drewnianym wieszaku, zaś oni zajęli miejsce na sofie przed kominkiem. Lauren spojrzała jeszcze raz na wieniec nad kominkiem i olśniło ją, że przecież dziś są walentynki, dzień zakochanych, i ona ten wieczór spędza z Codym Grangerem.

- Mają tu trzy takie gabinety - powiedział, wpatrując się w ogień. - Dzięki temu zawsze jest gdzie usiąść. A za domem jest bardzo piękny ogród, również do dyspozycji gości.

Kelnerka wniosła tacę z talerzykiem pełnym ciasteczek oraz z dwoma kubkami gorącej czekolady, przykrytej stożkami bitej śmietany.

- Jeszcze raz życzę państwu miłych walentynek!

- Dziękujemy! - odpowiedzieli jednocześnie i wybuchnęli śmiechem.

Kiedy dziewczyna wyszła, Cody pomyślał chwilę i nagle zerwał się z kanapy.

- Poczekaj, zaraz wracam.

Siedząc sama, Lauren jeszcze raz dokładnie obejrzała salkę. Zauważyła, że z postumentu przed oknem uśmiecha się do niej złocisty amerek, a lambrekin opleciony jest girlandą z maleńkich, czerwonych serduszek. Tak, wszystko miało tu przypominać o walentynkach.

- Proszę, to dla ciebie.
- Och, Cody, dziękuję!

Wtuliła twarz w pachnące płatki. Róża, jej ulubiony kwiat. Olbrzymia, purpurowa, na mocnej długiej łodyżce. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Cody, czy jazda na motocyklu to twój jedyny relaks?

- Skądże! Przede wszystkim chwile spędzone z Sarą, Poza tym trochę fotografuję i grywam w szachy z Elim. A ty, jak spędzasz wolny czas?

- Ja? Lubię dobre książki, dużo czasu spędzam też z Robem i jego rodziną. W lecie wyjeżdżamy razem na kemping. Mam trochę znajomych. Jedna z moich przyjaciółek, Eve Coleburn, niedawno urodziła prześliczną córeczkę. Dużo też pracuję w domu, nad projektami.

Mówiąc to, delikatnie przesuwiała różą po policzku.

- Pijmy czekoladę, póki gorąca - powiedział nagle Cody dziwnie nieswoim głosem i podał jej kubek. Lauren wypła łyk i odstawiła naczynie na stolik, a na jej ustach pozostała maleńka grudka śmietany. Cody z uśmiechem nachylił się i ostrożnie starł ją palcem, który potem oblizał. Jak dziecko? Nie, było to bardzo zmysłowe. Niemal jak pocałunek. Potem znów milczeli, popijali czekoladę i wpatrywali się w ogień, oboje świadomi tej ciszy, różą na kolanach Lauren i wieńca w kształcie serca. W tym samym momencie odstawili kubki.

- Dziękuję, Cody, za przejażdżkę, za to, że mnie tu zaprosiłeś i - wzięła do ręki różę - i za to!

Znów przytuliła różę do policzka, a jego oczy zrobiły się granatowe.

- Nie dziękuj.

Pochylił się. I tak jak przed kilkoma dniami, jego dłoń miękko wsunęła się pod włosy Lauren. Nie mieli ochoty

wstawać. Ani ona, ani on. Usta poszukały ust i Lauren znów miała wrażenie, jakby unosił ją wiatr.

A jednak... Cody nagle uniósł głowę. Odsunął się.

- Kończmy czekoladę i jedźmy.

Dlaczego? Spiesz się do dziecka? Może przypomniał sobie Gretchen i jej pieszczoty? To, że pocałował ją, Lauren, nie znaczy nic. Po prostu była obok...

- Tak, wypijmy i wracamy.

Na stoliku zostały dwa puste kubki i nietknięte ciasteczka. Wstali, omijając się wzrokiem, ale kiedy podawał jej okrycie, spojrzała mu w twarz. Oczy Cody'ego były chłodne, nieprzeniknione. Zapinając kurtkę, pomyślała, że droga powrotna nie dostarczy jej już takich uniesień. Nie żałowała jednak, że ją pocałował. Teraz przynajmniej wiedziała, gdzie powinna przebiegać granica marzeń. Także to, że oddanie serca temu mężczyźnie jest bardziej niebezpieczne, niż jazda na motorze bez trzymania i w dodatku bez hamulców.

Po kilku dniach samochód Lauren wolno podjeżdżał na podjazd przed domem doktora Grangera. Na tylnym siedzeniu leżał gotowy projekt oczka wodnego. Lauren na próżno starała się zapomnieć o wspólnym walentynkowym wieczorze. O pocałunku. Gdy Cody odwiózł ją do domu, nie zaprosił go do środka. Pożegnali się szybko i potem, przez długą bezsenną noc, Lauren starała się wymazać z pamięci wszystko, co zdarzyło się w zajeździe za miastem. Minęło kilka dni i doszła do wniosku, że tę dość skomplikowaną sytuację można jakoś uzdrowić. Niestety, pomysł podrzucenia gotowego już projektu, który jeszcze przed chwilą wydawał jej się genialny, teraz zaczynał budzić poważne wątpliwości. Przemogła się jednak. Nacisnęła dzwonek. Przez szybę

w drzwiach zobaczyła nadbiegającą Sarę, dającą jej znaki, które miały prawdopodobnie oznaczać, że tata właśnie rozmawia przez telefon. Lauren chciała już zrejterować, gdy drzwi otworzyły się i na progu stanął Cody. Był w garniturze, gotowy do wyjścia.

- Przepraszam, powinnam była zadzwonić - zaczęła niepewnym głosem Lauren. - Pomyślałam jednak, że może chcesz już mieć ten projekt oczka.

- Oczka? Ach tak, ta sadzawka - powiedział Cody, patrząc na nią półprzymiotnym wzrokiem.

- Przyszłam nie w porę?

- Ależ skąd, Lauren! - zachnął się Cody. - Nie gniewaj się, ale u mnie jak zwykle sytuacja alarmowa. W Denver jest bardzo ważna konferencja dla lekarzy, dowiedziałem się w ostatniej chwili. Tymczasem Kim siedzi już u fryzjera, a Debbie, która miała ją zastępować, właśnie wychodzi z chłopakiem na koncert. Eli jest absolutnie zajęty, a ja powinienem wyjść za pięć minut

- Czy to ważna konferencja?

- Bardzo.

- Tatusiu, tatusiu - włączyła się Sara, szarpiąc ojca za poję marynarki. - Przecież mogę zostać z Lauren! Prawda, Lauren? Ja chcę być z Lauren. Nie chcę Debbie, ona ciągle ogląda telewizję.

Cody przykucnął przy córeczce.

- Kochanie, nie denerwuj się. Tata zostanie w domu, nie pojedzie na żadną konferencję. Przecież Lauren może mieć jakieś plany.

Pomyślała, że dziś w planach miała przede wszystkim rozmowę z Codym. Gdyby została z Sarą, to może po konferencji, kiedy mała będzie spać, uda im się porozmawiać.



- Tak się składa, że jestem dzisiaj wolna - oświadczyła wesołym głosem. - Mogę posiedzieć z Sarą.

- A widzisz, tatusiu! - wykrzyknęła dziewczynka z triumfem. - Lauren może ze mną zostać!

Wstał i spojrzał niepewnie na Lauren.

- Nie wiem, czy możemy tak się narzucać.

- Daj spokój, przecież ja bardzo lubię być z Sarą.

Cody westchnął.

- Zwyciężyście! - zdecydował, spoglądając na zegarek. - W takim razie lecę. Ale, Lauren, tak dalej być nie może. Musimy to jakoś uregulować. Twój czas też ma swoją cenę.

Spojrzała na niego, potem na dziewczynkę, tulącą się do jej kolan. Tak, ale tego właśnie czasu, czasu dla nich, w żaden sposób nie dawało się oszacować.

Cody nie przypuszczał, że wróci tak późno, ale w drodze powrotnej z konferencji wezwano go przez pager do dwóch nagłych przypadków. Silne bóle brzucha i bóle za mostkiem. Zadzwonił do Lauren i powiedział, co się stało, a ona zupełnie się tym nie zmartwiła, stwierdziła tylko, że w razie czego położy się na kanapie w salonie. W rezultacie był wolny dopiero o drugiej w nocy. Bóle brzucha okazały się atakiem wyrostka, a bóle zamostkowe atakiem serca, co prawda lekkim, ale Cody i tak spędził przy chorym parę godzin. Teraz jechał przez ciche, uśpione miasto, do domu, w którym czekała Lauren, kobieta, której z każdą chwilą pragnął coraz bardziej. Po ich walentynkowej wyprawie przez całą noc miotał się na łóżku, zdając sobie sprawę, że tego pragnienia nie jest już w stanie stłumić.

Wszedł przez kuchnię. W całym domu panowała cisza. Zobaczył światło w salonie. Paliła się tylko mała lampka na

stoliczku koło kanapy, na której zwinięta w kłębek spała Lauren. Zawołał cicho. Nie poruszyła się. Pomyślał, że skoro śpi tak mocno, nie ma sensu jej budzić. Wrócił na palcach do kuchni i w nikłym świetle lampki nad zlewem napisał na kartce, że jest już w domu. Potem, najciszej jak potrafił, wrócił do salonu i położył kartkę na stoliku obok kanapy. Pochylił się jeszcze raz, aby zgasić światło i znieruchomiał. Musiał koniecznie jeszcze raz spojrzeć na twarz śpiącej Lauren. Na nos, policzki, na usta, których smak było mu dane poznać po raz drugi. Zdjął złożoną na oparciu narzutę i przykrył Lauren, jeszcze raz spojrzął i zgasił światło.

Był bardzo zmęczony i sądził, że zaśnie od razu. Godziny mijały, a on leżał z otwartymi oczami i myślał o kobiecie, pogrążonej w głębokim śnie na kanapie w jego salonie. Dopiero nad ranem zmorzył go sen, krótki i niespokojny. Krótki, bo ktoś zadzwonił do drzwi. Głośno i natarczywie. Spojrzął na zegarek. Było wpół do ósmej. Zwlókł się z łóżka i nie nakładając szlafroka, w samych spodenkach od piżamy, uszedł na dół. Otworzył drzwi i Dolores de Witt natychmiast znalazła się na środku holu.

- Wielkie nieba! Ty jeszcze nie ubrany?

Co, u licha, sprowadza ją z samego rana?

- Wzywano mnie w nocy - wymamrotał. - Czy coś się stało, Dolores?

- To się stało, że przyjechałam zobaczyć się z moją wnuczką. Bo ty - Dolores wyciągnęła oskarżycielsko palec - wcale nie kwapisz się do przyjazdu!

Teściowa, grubo po pięćdziesiątce, jak zwykle wyglądała bardzo szykownie. Platynowe włosy kunsztownie wymodelowane były na pazia, a błękitny wełniany płaszcz i także spodnie na pewno miały metki najdroższych firm. Dzięki solidnej sumce, wypłaconej po rozwodzie oraz funduszowi

powierniczemu, odziedziczonemu po ojcu, Dolores obce były wszelkie troski materialne.

- Przepraszam, nie zdążyłem jeszcze do ciebie zadzwonić. Rozmawiałem już z Elim i w grę wchodziłby przyszedł weekend. W każdym razie miło, że jesteś, Dolores, tylko dlaczego tak wcześnie?

- Chcę nacieszyć się moją wnuczką. Poza tym słyszałam, że przyjechał teatr dla dzieci...

Nagle Dolores urwała w pół zdania i na jej twarzy ukazał się wyraz największego zdumienia. Przez otwarte drzwi do salonu ujrzała kanapę, z której wstawała właśnie Lauren, rozkosznie potargana i zaróżowiona od snu.

- A któż to taki?! - zagrzmiała Dolores. - Co ta kobieta robi u ciebie o tej porze?

Cody stanowczo miał już za dużo lat, aby nie poczuć się dotknięty obcesowym pytaniem.

- Wybacz, Dolores, ale to nie twoja sprawa.

- Nie moja? - wybuchnęła. - A dobro mojej wnuczki to nie moja sprawa?! To przechodzi już ludzkie pojęcie. Pracujesz dzień i noc, a dzieckiem zajmują się przypadkowe osoby. Prawie w ogóle nie ma cię w domu. A co to w ogóle za dom? Pusto tu i ponuro, nawet w pokoju dziecinnym prawie nie ma mebli. Dziecko potrzebuje odpowiednich warunków, przede wszystkim osoby, która zajmie się nim, jak należy. Nie, Cody, po tym, co dziś zobaczyłam, nic mnie nie powstrzyma. Będę walczyć o prawo do opieki nad Sarą. Nie pozwolę, aby moja wnuczka chowała się w takich... cygańskich warunkach. W tym pustym domu, w którym jakieś obce kobiety wylegają się na kanapach!

Cody nie był tchórzem. Życie nauczyło go samodzielności i odwagi. Wykonywał trudną i odpowiedzialną pracę. Ale teraz poczuł strach. Strach, że nie wygra z tą rozjuszoną

kobieta, która ma pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. On rzeczywiście pracuje dzień i noc, a samotny ojciec to nie to samo, co ojciec i matka. Choćby nie wiem jak się starał, Dolores i tak znajdzie powód, aby odebrać mu Sarę.

Jego dziecko.

Nie, nie pozwoli na to. Skontaktuje się z prawnikiem. Będzie walczyć. Zrobi wszystko. Tak, wszystko. Spojrzał na Lauren, wciąż stojącą przy kanapie i przeczesującą dłonią włosy. Spojrzał na Dolores.

- To nie jest jakaś tam obca kobieta - powiedział głośno i wyraźnie. - To moja narzeczona.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Narzeczona? Od kiedy?!

Lauren, modlił się w duchu Cody, wiem, że nie mam prawa niczego od ciebie żądać. Na pewno wszystko słyszałaś. Proszę, błagam, nie zaprzeczaj. Zrób to nie dla mnie, lecz dla Sary.

- O, to dawna znajomość, jeszcze z czasów szkolnych. Po latach spotkaliśmy się u Kim, bratowej Lauren. Kim opiekuje się Sarą. Odnowiliśmy znajomość i tak to się zaczęło.

Lauren, słyszałaś, prawda? Przecież nie skłamałem, to wszystko prawda, nawet to, że coś między nami się zaczęło...

- Kiedy ślub?

- Niestety, data jeszcze nie jest ustalona - padła spokojna odpowiedź. Z ust Lauren. Zbliżyła się do nich, z uprzejmym uśmiechem na twarzy i wyciągniętą ręką. - Miło mi poznać panią. Jestem Lauren MacMilian.

Dolores, zupełnie ignorując wyciągniętą dłoń, odwróciła się do Cody'ego i wymachując mu palcem przed nosem, wygłosiła ultimatum:

- Ślub nie ślub, w każdym razie zapamiętaj: jeśli sądzisz, że wymażesz z pamięci Sary obraz matki, to się grubo mylisz. Tak samo, jeśli uważasz, że uda ci się rozłączyć mnie z moją wnuczką! Jutro skontaktuję się z prawnikiem i wtedy porozmawiamy inaczej!

Cody dobrze znał teściową i wiedział, że w tej chwili, niezależnie od stopnia jej zdenerwowania, należy zachować kamienny spokój.

- Wydaje mi się, że możemy dojść do porozumienia bez pomocy prawników - odrzekł spokojnie. - Przecież oboje chcemy dobra dziecka.

- Nie, Cody! To ja chcę jej dobra. Tylko ja! - podkreśliła z naciskiem. - Ty w ogóle nie masz pojęcia, czego dziecko naprawdę potrzebuje. Dlatego powtarzam: jestem rodzoną babką Sary, znam swoje prawa i nie pozwolę ot tak, po prostu, usunąć się z jej życia. Żegnam!

Rzuciwszy miazdzące spojrzenie, pani de Witt dumnym krokiem skierowała się ku wyjściu. Trzasnęły drzwi i w holu zapadła grobowa cisza. Dopiero po chwili Cody przeczesując nerwowo włosy ręką, spojrzał niepewnie na Lauren.

- Nie powinienem był ciebie w to wplątywać. Ale ja... ja musiałem coś wymyślić, żeby ją powstrzymać.

- Nie tłumacz się - odpowiedziała miękko. - Tylko co dalej? Co będzie, jeśli ona zorientuje się, że my w ogóle nie jesteśmy zaręczeni?

- Nie mam pojęcia - przyznał - ale przynajmniej zyskam na czasie. Przede wszystkim skontaktuję się z Barrym Senztem. To bardzo dobry prawnik, znamy się jeszcze ze szkoły.

Teraz grywamy czasami w kosza. Barry poradzi, co mam dalej robić.

- Cody, bądź dobrej myśli. Przecież wszyscy widzą, że Sara jest do ciebie bardzo przywiązana.

- To nie wystarczy - powiedział z goryczą. - Procesy o opiekę nad dzieckiem często wygrywają ci, którzy mają pieniądze i znajomości. Zrobię wszystko, aby zatrzymać Sarę przy sobie, jednak - głos Cody'ego załamał się - nie jestem pewien, czy wygram.

- Ależ, Cody! Przecież ty jesteś ojcem.

- No i co z tego? Muszę pracować, a Dolores siedzi w domu i cały swój czas może poświęcić dziecku.

- Cody - Lauren, przejęta i wzruszona, nieśmiało pogłaskała go po ramieniu - na pewno wszystko się ułoży.

- Dziękuję ci, że mi pomogłaś.

- Bo czuję, że Sara należy do ciebie - odrzekła łagodnym głosem. - Będę już szła, Cody, muszę wpaść do domu, przebrać się i jechać do pracy. Zadzwoń, kiedy porozmawiasz już z Barrym.

- Na pewno zadzwonię.

Stał w drzwiach i nie po raz pierwszy odprowadzał wzrokiem smukłą postać w dżinsach. Przypomniawszy sobie groźby Dolores. Niech grozi. On zrobi, co w jego mocy, aby Sara została przy nim. To wszystko.

Po południu Lauren coraz częściej spoglądała na zegarek, zastanawiając się, czy Cody widział się już z prawnikiem. Barry Sentz. Tak, przypomniała sobie. To przecież Barry ostrzegł Cody'ego, kiedy ten całował się z Gretchen. Boże święty, dlaczego nie może o tym zapomnieć? Dlaczego? To proste, kochała Cody'ego. Czy tak? Nie, nie kochała go, po

prostu jej się podobał. Nie wiedziała przecież, co to miłość. Prawdopodobnie nie wie do dziś.

Lauren westchnęła i pochyliła głowę nad szkicem. Ktoś zapukał i nacisnął klamkę. Była pewna, że to rodzice albo Rob. Uniosła głowę i uśmiech zamarł jej na ustach. Na progu stał Cody. Ubrany bardzo oficjalnie, w grafitowy garnitur i białoszary krawat. Bez słowa podszedł do biurka i ciężko opadł na krzesło. Był tak duży i barczysty, że Lauren nagle wydało się, jakby wypełnił cały pokój. Milczał. Zauważyła, że kołnierzyk koszuli jest rozpięty, a węzeł krawata rozluźniony.

- Cody - zaczęła ostrożnie - i jak? Rozmawiałeś już z Barrym?

- Tak. Wiesz, co powiedział? Takie procesy zwykle wygrywają dziadkowie! A mój zawód to tragedia. Długie godziny przyjęć, wezwania o każdej porze dnia i nocy. Powiedział też, że, oczywiście, wszystko może się zdarzyć, ale taki proces to wyjątkowo paskudna rzecz. Nawet jeśli wygram, będzie to bardzo ciężkie przeżycie, zwłaszcza dla dziecka.

- To straszne! - Lauren nie kryła, jak bardzo jest tym przejęta. - Co teraz zrobisz?

Milczał. Było oczywiste, że nad czymś głęboko się zastanawia i że ma to niewątpliwie związek z Lauren, ponieważ nie spuszczał z niej oczu. W końcu powziął decyzję:

- Barry powiedział, że najlepszym rozwiązaniem byłoby małżeństwo. Powiniennem się ożenić i stworzyć Sarze normalny dom. Myślę, że Barry ma rację.

- Czyli... czyli ożenisz się po raz drugi?

- Nie wiadomo. Mogę ożenić się tylko z kimś, o kim wiem, że będzie dobry dla mojego dziecka, kto będzie umiał się nim zająć. Znam tylko jedną taką osobę. To ty, Lauren.

- Ja?

- Tak, ty. Wyjdiesz za mnie?

Milczała. Najpierw musiała odczekać, aż dobrze pojmie sens jego słów. Cody zaproponował, żeby za niego wyszła. Tak, niewątpliwie poprosił ją o rękę. Czyli były to oświadczenia, chwila zupełnie wyjątkowa w życiu każdego człowieka. Kojarzyła jej się z uniesieniem, kwiatami, muzyką. Z wyznaniem miłości, najtrwalszej, najwierniejszej. Może jednak nie zawsze tak musi być? Może życie, budując schematy, lubi od nich odstąpić? Pomyślała o małym, bezbronny dziecku, tak bardzo przywiązany do ojca. O Codym, dla którego dziecko jest treścią życia. O Codym, który ją, Lauren, całował tak żarliwie...

- Nie mówisz chyba tego poważnie - szepnęła.

- Nigdy niczego nie mówiłem bardziej serio. Zapewnię ci spokojne, dostatnie życie, przyrzekam, że będę lojalny, wierny i dotrzymam wszelkich zobowiązań.

Czyli małżeństwo oparte na przyjaźni. Wspólny dom, wspólna troska o dziecko. Lojalność. Dostatek. A gdzie miłość? Czy wolno wychodzić za mąż bez miłości? Czy wolno bez niej się żenić?

- Jesteś pewien, że małżeństwo jest jedynym rozwiązaniem? A może...

- Tak. Tylko małżeństwo zagwarantuje, że Sara zostanie przy mnie i nie będzie musiała uczestniczyć w tym koszmarnym procesie. Lauren... - palce Cody'ego delikatnie objęły jej dłoń - jestem pewien, że to małżeństwo się uda.

Ciepło dłoni zaczęło uspokajać myśli. Może rzeczywiście będzie to dobry związek, a oświadczenia Cody'ego nie są najdziwniejszą rzeczą, jaka spotkała ją w życiu? Jak trudno jednak podjąć decyzję!

- Może po prostu będziemy udawać, że jesteśmy zaręczeni?



- Niemożliwe, Lauren. Nie możemy udawać w nieskończoność, tym bardziej że Dolores jest osobą bardzo bystrą. Będę próbował jakoś ją ułagodzić, ale nie mam wielkich nadziei. - Palce Cody'ego zacisnęły się nerwowo wokół jej dłoni. - Nie pozwolę, żeby odebrała mi dziecko. Proszę, przemyśl to wszystko. Zadzwoń.

Wstał i wyszedł, nie patrząc na nią, bez słowa pożegnania. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w blat biurka. Prosił, żeby podjęła decyzję. A może ona już wie, co ma zrobić?

Kiedy zadzwonił telefon, Lauren z kubkiem w ręku spacerowała po kuchni, popijając poranną kawę. Mocną, bo takiej potrzebowała po bezsennej nocy.

- To ja.

- Cody, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji.

- Tak, Lauren, ja poczekam, ale... ale właśnie dzwoniła Dolores.

Lauren najeżyła się.

- Czego chciała?

- Poznać bliżej moją narzeczoną. Zaprosiła nas na obiad, w niedzielę.

- Chce mnie sprawdzić?

- Powiedzmy, że tak.

- Co jej powiedziałaś?

- Że skontaktuję się z tobą i jeśli będziesz miała czas, przyjedziemy.

Mówił spokojnie, Lauren jednak czuła w jego głosie wielką prośbę.

- Chciałbyś, żebym pojechała z tobą?

- Tak, bardzo. Kiedy Dolores przekona się, że jesteśmy parą i planujemy wspólną przyszłość, na pewno spuści z to-

nu. Przy okazji chciałbym z nią spokojnie porozmawiać, zapewnię ją, że nie mam zamiaru utrudniać jej kontaktów z wnuczką. Lauren? - Głos Cody'ego nagle ożywił się. - Może spotkalibyśmy się przed niedzielą? Idziemy dziś z Sarą do teatru lalek. Nie obrazisz się, gdybym i ciebie zaprosił?

A więc sprawę niedzielnego obiadu Cody uważa za zamkniętą. Lauren poczuła się trochę dotknięta, przełknęła to jednak, rozumiejąc, jak ta sprawa jest dla niego ważna.

- Oczywiście, że się nie obrażę. Spotkamy się w teatrze?
- Może podjedziemy po ciebie? O siódmej?
- Świetnie, o siódmej.

Odłożyła słuchawkę, czując nagły przyływ energii. Wca-  
le nie dzięki kawie. Cieszyła się, że spędzą wspólny wieczór, cieszyła się, że dziwne oświadczenia Cody'ego przestają być wyłącznie dylematem, który spędza sen z powiek.

W niedzielę mroźna i słoneczna pogoda nastrajała opty-  
mistycznie, jednak atmosfera w samochodzie, pędzącym  
szosą do Colorado Springs, była napięta. Oboje byli pode-  
nerwowani, zarówno Cody, skoncentrowany nad kierownicą,  
jak i Lauren, pozornie całkowicie zaabsorbowana wesołą  
rozmową z Sarą.

Wieczór w teatrze lalek był bardzo udany. Zajęli się przede wszystkim dzieckiem, odsuwając inne sprawy na dalszy plan. Sara oglądała przedstawienie z wielkim przejęciem. Popatrując na zafascynowaną twarzyczkę dziecka, Lauren czuła, że córeczka Cody'ego bez reszty podbiła jej serce. Następny wieczór również spędzili razem, bo Cody zaprosił Lauren do siebie na kolację. Po kolacji Sara ubłagała Lauren, aby została i położyła ją do łóżeczka, a ta nie dała się długo prosić. Nie obyło się oczywiście bez czytania bajek. Kiedy siedziały tak obie, przytulone i wpatrzone w kolorową książ-

zeczke, Lauren czuła, że Cody nie spuszcza z niej oczu. Co myślał? Od pamiętnego walentynkowego wieczoru ani razu nie próbował jej pocałować, tylko czasami jego wzrok, kiedy spoglądał na nią, dziwnie się zmieniał. W sobotę, mimo że Cody miał dyżur pod telefonem, wybrali się z Sarą do kina. Na szczęście, pager milczał. I znów było im tak miło, że Lauren coraz częściej myślała, iż przebywanie we trójkę ma jakiś sens.

Zbliżyli się do ekskluzywnego, strzeżonego osiedla. Cody minął bramę wjazdową i kiedy jechał wolno osiedlową uliczką, Lauren z ciekawością przyglądała się mijanym domom. Różniły się bardzo od siebie zarówno architekturą, jak i wielkością, niewątpliwie jednak ich mieszkańcy nie cierpieli na brak gotówki.

Willa Dolores była niska, rozłożysta, przypominająca dom na ranczu.

Cody wjechał na podjazd i wyłączył silnik.

- Lauren, będziemy się zachowywali... przekonująco, dobrze?

Skinęła potakująco głową. Przecież wiedziała, ile zależy od tej wizyty.

Drzwi otworzyła sama Dolores, a minę miała skwaszoną. Rozpromieniła się dopiero na widok Sary.

- Dzień dobry, mój skarbie! Jaka ty jesteś duża. Rośniesz jak na drożdżach!

- Tak! - Dziewczynka dumnie wyprostowała plecki. - Niedługo będę duża jak tatuś.

- Oczywiście - przytaknęli chórem dorośli.

- Bardzo proszę, wchodźcie! - zaprosiła Dolores. - Obiad już prawie gotowy. Na razie zapraszam do salonu. Chodź, Saro, babcia ma coś dla ciebie.

- Dolores, prosilem - wtrącił półgłosem Cody. - Ciagle jej coś kupujesz.

- Ach, taki tam drobiazg! - zachnęła się Dolores, rzucając jednocześnie szybkie, taksujące spojrzenie na Lauren, która zniosła to ze spokojem, wiedząc, że nie wygląda najgorzej w długiej, wąskiej spódnicy i ciemnozielonym płaszczu z wielbłądziej wełny.

Kiedy przechodzili przez hol, Cody delikatnie objął Lauren ramieniem

No tak, kochająca się para, pomyślała z przekąsem, choć ciepły tors w granatowym swetrze nie był jej niemiły. W liliowym salonie Dolores przykładowie usiedli na kanapce, bardzo blisko siebie i Lauren była pewna, że Cody słyszy bicie jej serca. Kiedy Sara z przejęciem rozpakowywała prezent, Dolores zaproponowała kawę, wskazując na srebrny serwis, czekający na szklanym blacie stoliczka na chromowanych nóżkach. Lauren podziękowała grzecznie i za kawę, i za eleganckie przystawki, czując, że nie przełknie ani jednego marynowanego grzybka, dopóki Cody nie zabierze ręki z jej kolana.

W międzyczasie Sara uporała się ze wstążkami i papierem. Podniosła wieko i z okrzykiem radości wyciągnęła z pudełka prześliczną lalkę.

- Ojej! Patrzcie, patrzcie, co dostałam!

- Naciśnij lali brzuszek - odpowiedziała babcia.

Dziewczynka nacisnęła i lalka przemówiła ludzkim głosem. Sara oniemiała z zachwyty, po czym chwyciła zabawkę i ulokowała się z nią na dywanie pod oknem. Teraz naciskała brzuszek raz po raz, zaśmiewając się do rozpuku, kiedy lalka wygłaszała swoją kwestię.

- Kochanie, o czymś zapomniałaś! - przypomniał ojciec.

- Oj, tak, przepraszam. Kochana babciu, bardzo ci dziękuję.

- Cieszę się, że laleczka ci się podoba, mój skarbie - powiedziała serdecznie babcia i całą swą uwagę skupiła na Lauren. - Bardzo mi miło, że przyjęła pani zaproszenie i mamy okazję poznać się bliżej. Czy mogłaby pani opowiedzieć coś o sobie? Czym pani się zajmuje?

- Jestem architektem terenów zielonych - uprzejmie poinformowała Lauren. - Ukończyłam studia i teraz pracuję w centrum ogrodniczym, należącym do moich rodziców. To rodzinna firma.

- No proszę, jaka korzystna sytuacja - skomentowała uszczypliwie Dolores. - Posada czekała na panią. Nie musiała pani, jak setki młodych ludzi po studiach, uganiać się za pracą.

Cody, pilnie przysłuchujący się rozmowie, natychmiast pospieszył z odsieczą.

- Lauren po prostu podtrzymuje tradycje rodzinne. W centrum pracują wszystkie pokolenia MacMillanów. To bardzo zżyta rodzina, w dzisiejszych czasach prawdziwa rzadkość.

- Możliwe - powiedziała sucho Dolores, strzepując z sukni niewidoczny pyłek. - Ciekawa też jestem, od jak dawna spotykacie się z Codym?

- Trudno to określić dokładnie - odrzekła zgodnie z prawdą Lauren. - Kiedy Kim była chora, opiekowałam się jej dziećmi i Sarą, i tak to się zaczęło.

Śledztwo przerwała gospodyni, anonsując, że obiad podano. Cody zerwał się z kanapy, elegancko pomógł wstać Lauren i czule ją obejmując, poprowadził do jadalni. No tak, następna scena z przedstawienia dla pani de Witt!

Podczas obiadu Dolores zabawiała gości peanami na cześć nowego skrzydła szpitala.

- W skrzydle tym będzie pogotowie ratunkowe, wyposażone w najnowocześniejszą aparaturę. I pomyśleć, że fundusze na ten cel udało się zgromadzić dzięki Gretchen. Moja córka, proszę pani, i mój zięć byli wspaniałą parą. Ramię w ramię pracowali nad podnoszeniem poziomu opieki medycznej w naszym mieście. Gretchen potrafiła przekonać każdego, aby wspomógł szczytny cel. Prawda, Cody?

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Tak.

- Całe miasto kochało i szanowało moją córkę.

Lauren nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, pojęła jednak doskonale, że Gretchen była skończonym ideałem. Nie tylko piękna i urocza, potrafiła również zrobić coś dla innych. Czy ona, Lauren, jest w stanie konkurować z tą kobietą bez skazy?

Po obiedzie Dolores przeprosiła gości i poszła do kuchni omówić coś z gospodynią. Sara ochoczo pobiegła za babcią, a Cody zaprowadził Lauren do niewielkiej bawialni z gigantycznym oknem, z którego rozpościerał się widok na piękny, starannie utrzymany ogród.

- Jak to wytrzymujesz? - spytał cicho, wyraźnie zaniepokojony.

Niezależnie od stopnia kaśliwości Dolores, Lauren najbardziej zależało na tym, aby podtrzymać Cody'ego na duchu.

- Nie jest tak źle - odrzekła z uśmiechem. - Da się wytrzymać.

W tym momencie od strony kuchni dobiegł do ich uszu dyskretny szmer. Cody uśmiechnął się i nachyliwszy się do ucha Lauren, szepnął konspiracyjnie:

- Obserwują nas. Powinniśmy odegrać jakąś ładną scenkę.

Silne ramię otoczyło kibić Lauren. Pocałunek był namiętny i odpowiednio długi, aby obserwator przekonał się, jak bardzo spragnieni są swoich ust. Czyli kolejny fragment scenariusza? Dla drżącej Lauren na pewno nie, ale dla Cody'ego? Niewątpliwie tak, bo chociaż oboje potrzebowali chwili, aby uspokoić oddech, w niebieskich oczach nie było żadnych emocji. Pozostały chłodne, obojętne, i Lauren poczuła, że chociaż na chwilę musi uciec od tego chłodu.

- Pójdę poszukać Sary - powiedziała nieswoim głosem i szybko wyszła z bawialni. Zajrzała najpierw do kuchni. Tu natknęła się, oczywiście, na Dolores, która, spojrzawszy mimochodem na zarumienioną twarz Lauren, bez żenady podjęła swoje śledztwo:

- No i w końcu nie powiedziała mi pani, jak długo się spotykacie.

- I długo i krótko, proszę pani - odpowiedziała szybko Lauren. - Tak, jak mówiłam, bardzo trudno to określić. Nie wie pani, gdzie jest Sara?

- Na pewno w salonie, bawi się nową lalką. Biedne dziecko! - Dolores westchnęła teatralnie. - Cody kupuje jej tak mało zabawek.

- I słusznie! - wypaliła Lauren. - Zabawki są sprawą drugorzędną. Cody kocha swoją córeczkę, okazuje jej miłość i głębokie przywiązanie. Interesuje się jej potrzebami i rozwojem. Poświęca jej cały wolny czas. Cody daje Sarze to, co dla dziecka najważniejsze, proszę pani!

Płomienne przemówienie poraziło Dolores. Zaniemówiła. Lauren, korzystając z okazji, wymknęła się z kuchni. W salonie nie było nikogo, wyszła więc na korytarz i zawołała półgłosem:

- Saro! Kochanie, gdzie jesteś? Stęskniłam się za tobą!

- Tutaj! Tutaj jestem! - odpowiedział skwapliwie dziecięcy głosik, dobiegający z końca korytarza.

Po chwili Lauren znalazła się w niedużym pokoju, zastawionym regałami z książkami. Na środku pokoju królowało olbrzymie biurko, zasłane papierami, a za nim Lauren dojrzała roześmianą buzię czterolatki, rozpartej wygodnie na obrotowym krześle.

- Uwielbiam to krzesło! - oświadczyła dziewczynka. - Można się na nim kręcić jak na karuzeli.

- Masz rację, jak na karuzeli! Nie jestem jednak pewna, czy wolno ci tu buszować - zaniepokoiła się Lauren, zabierając z biurka porzuconą lalkę. - Babcia na pewno ma tu ważne dokumenty. Chodź, pójdziemy lepiej do tatusia!

- Dobrze, powiem mu, że jeździłam na karuzeli! - zawołała dziewczynka. Zsunęła się posłusznie z krzesła i chwyciwszy w przelocie lalkę, pędem wybiegła z pokoju. Lauren z rozczuleniem nasłuchiwała przez chwilę tupotu dziecinnych nóżek, po czym schyliła się, aby podnieść kilka kartek, które sfrunęły z biurka. Pozbierała je i starannie wygładzając, ułożyła w stosik. Jej wzrok nieuchronnie musiał powędrować do kartki, którą kładła jako ostatnią. Był to list od adwokata. Kiedy zobaczyła pierwszą linijkę, wiedziała, że ten właśnie list musi przeczytać do końca. Nagle zatrzęsła się z oburzenia. Adwokat pisał:

*Jeśli Pani ma zamiar wystąpić na drogą sądową, postaram się, aby sprawą poprowadził sędzia Porter. Słyszałem, że to Pani dobry znajomy. Sędzia Porter na pewno pójdzie Pani na rękę.*

A więc jednak znajomości! Ciekawe, ilu jeszcze innych sędziów zna pani de Witt? Nic dziwnego, że Cody za wszelką cenę chce uniknąć tego procesu. I ten proces się nie odbędzie.



Lauren jeszcze raz wygładziła dokumenty i zdecydowanym krokiem wymaszerowała z gabinetu pani de Witt. Decyzja zapadła. Wyjdzie za Cody'ego. Nie pozwoli, żeby sędzia Porter oddał dziecko Cody'ego Dolores.

Wróciła do salonu, uśmiechnęła się do Sary, zajętej układanką, i z mocnym postanowieniem, że nie da się ukąsić Dolores, zajęła miejsce na kanapie bardzo blisko Cody'ego. Przez kilka chwil dorośli prowadzili lekką, towarzyską rozmowę. Jednak w pewnym momencie Dolores, prostując się na krześle, oznajmiła chłodnym tonem:

- Myślę, że teraz moglibyśmy porozmawiać o tym, co interesuje nas najbardziej. Otóż skontaktowałam się z prawnikiem.

- No i? - zapytał Cody perfekcyjnie spokojnym głosem.

- Poradził, że jeśli rzeczywiście macie zamiar się pobrać, powinnam zrezygnować z tego procesu. Po prostu nie wygram. Ale jeżeli ślub się nie odbędzie i jeśli to, co widzę, jest tylko mistyfikacją, wtedy na pewno spotkamy się w sądzie. W każdym razie byłabym wdzięczna za pewną bardzo istotną informację. Chodzi mi, oczywiście, o datę waszego ślubu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Serce Cody'ego zabiło żywiej. Jaka będzie odpowiedź Lauren, która przecież jeszcze nie powiedziała „tak”?

- Niestety, nie ustaliliśmy jeszcze dokładnej daty - powiedziała Lauren. - W tych dniach mieliśmy podjąć decyzję.

Dziewczyno, blefujesz? A może mówisz „tak”?!

- To może teraz? - zaproponowała pani de Witt słodkim głosem. - Przyniosę kalendarz.

- Nie trzeba, Dolores - wtrącił szybko Cody. - To zrozumiałe, że chcemy zrobić to sami. Zaraz po ustaleniu daty zadzwonię do ciebie.

- Cudownie - odrzekła pani de Witt. - Cody, czy tym razem również masz zamiar brać ślub pod gołym niebem?

Aluzja do ślubu z Gretchen, który odbył się w ogrodach hotelowych, musiała dużo kosztować Dolores, osobę porywczą, na pewno jednak nie złośliwą. Było oczywiste, że pani de Witt koniecznie chce wytrącić go z równowagi.

- To także będziemy musieli omówić z Lauren - wyjaśnił spokojnie.

Nagle Dolores straciła cały animusz. Posmutniała, przygarbiła się. Tak, na pewno myślała o zmarłej córce. Cody'emu zrobiło się żal starszej pani, która zostaje sama ze swoim bólem, podczas gdy on rozpoczyna nowe życie.

- Dolores - powiedział miękko. - Zdaję sobie sprawę, że ta cała sytuacja jest dla ciebie niezwykle trudna.

Spojrzała z niedowierzaniem, jakby był ostatnią osobą, która mogłaby okazać jej współczucie.

- Bo tak jest, Cody. Marzyłam zawsze, że Gretchen i ty będziecie żyć razem, długo i szczęśliwie.

Szczęśliwie? Przecież w ich małżeństwie nie było ani odrobiny szczęścia, choć tak bardzo się starał. Pragnął, aby między nimi wytworzyła się bliskość. Okazało się, że Gretchen żadna zażyłość nie jest potrzebna. Marzył o licznej rodzinie, a dla jego żony jedna malutka Sara była zawadą.

W tym momencie dziewczynka, jakby wyczuwając, że jej niewielka osoba zaprzęta myśli ojca, podbiegła do kanapy. Nie usiadła jednak przy nim, tylko podeszła do Lauren i położyła ciemną główkę na jej kolanach.

- Zmęczyłaś się, myszko? - spytała, głaszcząc dziecko po plecach.

Pokiwiała główką, a Cody'emu ścisnęło się serce. Gdyby Lauren zgodziła się zostać jego żoną, Sara miałyby najlepszą matkę na świecie.

- Pojedziemy już, Dolores - powiedział zmienionym głosem. - Mała jest zmęczona, na pewno będzie spać całą drogę.

Pożegnanie było chłodne.

- Miło było panią poznać, Lauren. Mam nadzieję, że teraz będziemy spotykać się częściej. Cody, nie zapomnij zadzwonić, kiedy ustalicie datę ślubu.

- Naturalnie, że zadzwonię - obiecał, w pełni świadom, że jeśli ślub się nie odbędzie, i to w jak najbliższym czasie, spotkanie z prawnikami Dolores jest nieuniknione.

Już po paru minutach Sara, ułożona wygodnie na tylnym siedzeniu samochodu, spała jak suseł. Cody, popatrując w lusterko na śpiące dziecko, myślał o tym, z jaką ufnością Sara przytuliła się do kolan Lauren i ile znalazła w niej czułości.

- Lauren, możesz się jeszcze wycofać.

- Zmieniłeś zdanie?

- Skądże! Oboje jednak wiemy, że to nie zabawa. Zależy mi bardzo, abyś była naprawdę przekonana do tego małżeństwa. Przemyśl to.

- Jestem przekonana - oznajmiła nadspodziewanie mocnym głosem. - Szczególnie po tym, co zobaczyłam w gabinecie Dolores.

- O czym mówisz?

- O liście od prawnika. Nie muszę ci tłumaczyć, że nie myszkowałam w jej papierach, tylko poszłam tam po Sarę. Kilka kartek spadło na podłogę i kiedy układałam je z powrotem na biurku, zobaczyłam pierwsze zdanie. Niestety, nie było siły, żebym nie doczytała do końca.

Kiedy Lauren wzburzonym głosem przekazała treść listu, Cody zbladł i cicho zaklął.

- No tak, wiedziałem, że ona zna odpowiednich ludzi. Bałem się tego od samego początku.

- Kiedy się pobierzemy, nikt nie odbierze ci dziecka.

- Jesteś pewna, że nie będziesz żałować swojej decyzji?

- A czy ty jesteś pewien, że to małżeństwo się uda?

Cody bez słowa zwolnił i zjechał na pobocze. Stanęli. Rozpiął pas. Potem rozpiął pas Lauren i wsunął rękę pod jej plecy. Zadrżała. Kiedy przygarnął ją, poddała się miękko całym ciałem i roztapiając się w pocałunku, gubiła ostatnie wątpliwości.

- Widzisz? Na pewno się uda - szepnął, nie wypuszczając jej z objęć. - Będziemy razem, będziemy mieli naszą córeczkę, nasz dom. Lauren, powiedz, tak ostatecznie, czy zostaniesz moją żoną?

Delikatnie wysunęła się z jego objęć, odczekała chwilę, aż serce przestanie bić jak szalone, zastanowiła się jeszcze przez ułamek sekundy i odpowiedziała:

- Tak.

Teraz serce Cody'ego zabiło w niezwykłym tempie. Ze szczęścia? Bzdura! Przecież on nie wie, co to jest. Tak silną emocję odczuł z powodu ulgi.

- Trzeba jak najszybciej zacząć wszystko załatwiać - powiedział, zapinając pas. - Ślub cywilny, tak, Lauren?

- Cywilny? Dobrze.

Aż do Birch Creek nie odezwała się ani słowem. Ślub cywilny. Kostiumik, kilka urzędowych słów, podpisanie dokumentu. Dlaczego nie w kościele? W podniosłej atmosferze świątyni? Zapach kadzideł, dźwięki uroczystej muzyki, skupienie wszystkich zebranych, które potem przerodzi się w żywiołową radość. I żaden głupi kostiumik. Długa, szeleszczą-

ca suknia, którą wkłada się tylko raz w życiu. Oraz ten najważniejszy moment, kiedy kapłan połączy stulą ręce, aby w obliczu Boga, nie tylko ludzi, stali się mężem i żoną. Tak, tylko taki ślub jest prawdziwy. Lauren westchnęła. Trudno, znów trzeba zmierzyć się z rzeczywistością. Oświadczyzny bez wyznania miłości, więc i ślub nie będzie podniosły. Tak jak ich małżeństwo, oparte na wynegocjonowanym układzie. Czy z obu stron tak jest? Nie, bo ona, zawierając ten związek, wnosi coś jeszcze. Tak, dłużej nie mogła się oszukiwać. To właśnie jest miłość. Jej uczucie do Cody'ego z każdym dniem było coraz silniejsze. Także nadzieja, że i on pewnego dnia ofiaruje jej coś więcej niż tylko lojalność i wierność. Bo ona do jego domu wniesie nie tylko przyjaźń i czułość. Także miłość.

Pochłonięta myślami nie zauważyła, że dojeżdżają już pod dom. Cody zgasił silnik i oboje odruchowo spojrzeli na skuloną figurkę na tylnym siedzeniu.

- Śpi snem sprawiedliwego - zażartował cicho Cody, biorąc ostrożnie dziecko na ręce. - Zaniose ją na górę, niech sobie jeszcze pośpi.

Poczekwała w salonie, a kiedy Cody wrócił, usiedli na chwilę na kanapie.

- Lauren, wspomniałem o ślubie cywilnym, ale tak nie musi być. W końcu oboje bierzemy ten ślub.

Pomyślała, że skoro decydują się na wspólne życie, nie powinni przed sobą niczego ukrywać. Tak postępują jej rodzice, jak również Rob i Kim.

- Szczerze mówiąc, wołałabym ślub kościelny.

- Czemu nie? Obawiam się tylko, czy nie wyznaczą zbyt odległego terminu.

- Porozmawiam z naszym księdzem. Przecież możemy wziąć ślub w tygodniu, podczas mszy wieczornej. Nie musimy zapraszać tłumów.

- Parę osób powinno jednak przyjść - powiedział z uśmiechem Cody. - A jeśli chodzi o przyjęcie... Co powiedziałabyś na Briarwood Club? Jestem członkiem tego klubu, mają tam bardzo ładną salę, którą wynajmują na przyjęcia.

- Bardzo dobry pomysł. Cody, powiedz szczerze, naprawdę nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy wzięli ślub w kościele?

- Ach, Lauren, przecież to wszystko jedno, gdzie. Mężczyźni nie przejmują się tak bardzo samą ceremonią. - Sprawiał wrażenie, jakby chciał mieć to jak najszybciej za sobą. Jakie to przykre, pomyślała Lauren, ale czy może być inaczej, skoro dla niego ten ślub jest rodzajem kontraktu?

- Powinniśmy jak najszybciej zawiadomić twoich rodziców. Może pojedziemy do nich, kiedy Sara się obudzi? Po drodze wpadniemy do księdza. Trzeba też powiedzieć Robowi i Kim. Myślę, że jeśli się sprężymy, do końca tygodnia wszystko będzie załatwione.

Zawiadomimy, pojedziemy, załatwimy. Był tak przeraźliwie konkretny. Czy nie mógłby w takim dniu choć przez chwilę być mniej rozsądny? Mógł. Pocałował Lauren i zrobił to tak, jakby sam chciał wlać w jej duszę nadzieję. Nadzieję na jego miłość.

Na wieść o ślubie państwo MacMillan, kiedy otrząsnęli się z pierwszego szoku, okazali wielką radość i zaofiarowali swą pomoc. Podobnie zareagowała Kim, tylko Rob zachowywał się powściągliwie. Pani MacMillan poprosiła Lauren na stronę i dyskretnie zapytała, czy córka aby nie jest w ciąży. Gdy jej obawy zostały rozwiane, szczęśliwa mama natych-

miast rzuciła się do telefonu, aby dzwonić do księdza. Okazało się, że wielebny Corbett będzie mógł połączyć młodą parę już trzeciego marca. Za dziesięć dni.

Wszystkie wieczory, poprzedzające doniosłe wydarzenie, Lauren i Cody spędzali razem. Nie były to jednak chwile romantyczne. Po prostu przygotowywali się do ślubu, tak jakby realizowali jakiś plan. Konsekwentnie i starannie, punkt po punkcie. A między jednym punktem a drugim Lauren zastanawiała się, dlaczego ten energiczny, konsekwentny Cody czasami sprawia wrażenie, jakby się jeszcze nad czymś głęboko zastanawiał. Czy myśli o przeszłości? Już raz składał przysięgę... Gretchen. Czy kiedykolwiek o niej zapomni? Teraz będzie przysięgał jej, Lauren. Przysięga się miłość. Czy przysięga może kazać pokochać? Czy Cody pokocha ją? Z każdym dniem pragnęła tego coraz bardziej, i coraz bardziej bała się tego pragnienia.

Na cztery dni przed ślubem odebrali obrączki u jubilera i pojechali do mieszkania Lauren, która miała się zastanowić, co zrobi ze swoimi meblami.

Nie była w najlepszym nastroju. Znużyły ją przygotowania, zmęczył brak serdeczności ze strony Cody'ego. Przygotowała szybko gorącą czekoladę i kiedy usiedli przy kuchennym stole, Cody, jak zwykle, rozpoczął rozmowę na tematy zasadnicze:

- Meble z twojego pokoju dziennego można wstawić do tego pustego pomieszczenia na dole, gdzie chcę urządzić dla Sary pokój do zabawy.

- Dobrze - mruknęła, będąc myślami zupełnie gdzie indziej, daleko stąd.

- Natomiast jeśli chodzi o meble z sypialni, to nie mam żadnego pomysłu, ale można je przechować.

- Chciałam oddać je Kim. Mówiła mi, że przydadzą się, kiedy Matt będzie większy. Zastanawiam się też, co zrobić z deską kreślarską i biurkiem. Czy zgodziłbyś się, abym wstawiła je do pokoju gościnnego? Miałabym tam miejsce do pracy.

- Nie widzę problemu. Zresztą, kiedy przestaniesz pracować, to i tak...

- Przecież ja nadal będę pracować - przerwała zaskoczona Lauren.

- Masz zamiar pracować i jednocześnie zajmować się Sarą?

- Oczywiście! Masa kobiet tak robi. Poza tym, Cody, ja po prostu nie mogę przestać pracować. Moja rodzina liczy na mnie. Nie w każdym centrum mają architekta terenów zielonych. Nie rozumiesz?

- Więc jak ty to sobie wyobrażasz? - zapytał, wyraźnie podirytowany. - Będziesz zabierać Sarę do pracy?

- Oczywiście, że nie, ale przecież można odprowadzać ją do Kim.

- Nie, Lauren. Jeśli masz zamiar być dla Sary matką, to powinnaś zajmować się nią jak matka.

- Ależ, Cody! Przecież Sara nie jest niemowlęciem, które potrzebuje matki przez całą dobę! Poza tym jesienią i tak pójdzie do przedszkola.

- Tak, ale do tego czasu powinna być cały czas z tobą, właśnie przez całą dobę. Żebyście się zżyły, żeby poczuła, że teraz ty jesteś jej matką. Nie spodziewałem się, że to będzie taki problem.

- Bo to jest problem, Cody. Musiałabym zrezygnować ze wszystkiego, czego się nauczyłam, co osiągnęłam. Nigdy nie mówiłeś, że chcesz, abym rzuciła pracę.

- Myślałem, że to jest oczywiste!



W małej kuchni zapadła pełna napięcia cisza. Lauren czuła, że Cody nie ustąpi. Czy zawsze jest taki uparty? Czy naprawdę tak trudno mu sobie wyobrazić, że dla niej praca jest tak samo ważna, jak dla niego, jak dla wielu innych osób?

- Zrozum, ja nie chodzę do pracy tylko po to, żeby zarobić pieniądze. Ja naprawdę kocham mój zawód.

Po raz pierwszy zobaczyła, jak oczy Cody'ego ciemnieją z gniewu.

- Skoro nie chcesz być dla Sary matką, to te oświadczenia były zupełnie niepotrzebne - powiedział zirytowanym głosem. - Przecież postawiłem sprawę jasno. Pobieramy się dla dobra dziecka.

Dla dziecka, tylko dla dziecka. Niestety, Cody, ja już w tym wszystkim nie potrafię się odnaleźć.

- Ślub zawsze można odwołać.

Powiedziała to. Cicho i twardo. Choć myślała, że pęknie jej serce.

- Tak, można - odrzekł sucho, wstając od stołu. Na progu odwrócił się. - Zadzwoni, kiedy zdecydujesz, co dla ciebie ważniejsze: dobro dziecka czy praca.

Nie próbowała go zatrzymać. Nie, nie będzie biegła za nim, jak zrozpaczona nastolatka czy zdesperowana kobieta, która robi wszystko, aby wyjść za mąż. Nie mogła za nim pobiec, bo go kochała, a on nie tylko jej nie kochał. Była mu do tego stopnia obojętna, że nawet nie starał się jej zrozumieć.

Tej nocy Cody nie zmrużył oka. Najlepszym rozwiązaniem byłoby po prostu wsiąść na motor, ale na gorze spała jego córeczka. Musiał więc wszystko przemyśleć w domu, przez długie godziny przemierzając pokoje wzdłuż i wszerz.

Dziecko jest najważniejsze. Na Boga, każde dziecko musi mieć kogoś, dla kogo jest najważniejsze! Nie musi być to matka. Bo Sara dla swej matki była tylko ciężarem. Od samego początku Gretchen unikała małej. Przypuszczano, że to szok poporodowy, tym bardziej że poród był bardzo ciężki. Nianczył więc małą, na zmianę z Dolores, i czekał. Mijał jeden tydzień za drugim i nic się nie zmieniło, bo Gretchen nadal uciekała od obowiązków matki. Najchętniej oglądała łązawe seriale w telewizji albo wymykała się do znajomych. Po trzech miesiącach odbyli burzliwą rozmowę. Cody zażądał, aby poszła do psychologa, ona wykrzyczała mu w twarz, że ciąża zepsuła jej figurę i że nie ma zamiaru tracić życia na siedzenie przy dziecku.

Po długich przemyśleniach doszedł do wniosku, że dziecko potrzebuje obojga rodziców i że gdy ustąpi, Gretchen będzie szczęśliwa. A jeśli będzie szczęśliwa, to może stanie się lepszą matką. Dlatego nie protestował, kiedy wychodziła na lunch do znajomych, zaczęła się włączać do różnych akcji dobroczynnych, aż w końcu bez reszty zaangażowała się w gromadzenie funduszy dla szpitala. On natomiast bez reszty poświęcił się dziecku. Bardziej niż inni ojcowie, aby jego córka nie odczuwała braku matki i wiedziała, że jest kochana. Udało się. Sara była teraz pogodnym, ufnym, inteligentnym dzieckiem. Jak szybko nawiązała kontakt z Lauren.

Lauren.

Czuła i troskliwa dla dziecka, a jednocześnie pochłonięta pracą. Czyżby druga Gretchen? Bzdura. Jak można porównywać egoistyczną Gretchen z Lauren, która zgodziła się wyjść za niego dla dobra dziecka? Dziecka, z którym nie łączą ją więzy krwi?

Dziecka, które chcą mu odebrać. Przypomniał sobie groźby Dolores. Jeśli nie poślubi Lauren... Lauren, jak bar-

dzo jesteś mi potrzebna! Czy tylko ze względu na Sarę? Nie. On też jej potrzebował. Nie wiedział jeszcze do końca, dlaczego. Może dlatego, że stała się mu bliska, tak bliska, jak nikt inny dotąd. I chciał, żeby była z nim. Zawsze.

Lauren również spędziła bezsenność. Po wyjściu Cody'ego przez resztę dnia unikała ludzi, bojąc się, aby nikt nie dojrzał jej pełnych łez oczu. Nie zatrzymała Cody'ego, ale jej świat legł w gruzach. Z całego serca pragnęła być jego żoną i Sarze zastąpić matkę. Wystarczyło podnieść słuchawkę... ale Lauren nie zadzwoniła. Duma? Raczej niepewność. Czy ten ktoś, do kogo ma zadzwonić, naprawdę zdaje sobie sprawę, że ona również istnieje? Ona, Lauren MacMillan. Pobierają się dla dobra dziecka, w porządku, ale to wcale nie oznacza, że on ma być dla niej tak straszliwie obojętny, jak to pokazał dzisiaj. Nie. Jeśli tak ma być, to... małżeństwo jest czystym szaleństwem.

Rano włożyła kostium, ponieważ tego dnia miała kilka ważnych spotkań. Była zadowolona, że praktycznie cały dzień spędzi poza firmą. Podjęła smutną decyzję. Jeśli Cody nie odezwie się do ranka następnego dnia, uzna, że ślub jest nieaktualny. Zawiadomi rodzinę i zacznie odwoływać gości. Wpadła do Centrum na sekundę, aby sprawdzić, czy nie zostawiono dla niej żadnej wiadomości. Nie było żadnej. Pojechała więc do domu i stwierdziła, że tylko praca pomoże jej oderwać się od smutnych myśli. Usiadła nad projektem. Mijały godziny, a ona wciąż patrzyła w ciemne okno.

Telefon.

- Lauren, to ja.

- Tak.

- Lauren, Sara okropnie płacze. Wczoraj też była rozdrażniona, ale jakoś zasnęła. Dziś zupełnie nie mogę jej uspokoić. Lauren, ona płacze za tobą.

Och, Cody, dlaczego nie powiesz wprost, żebym przyjechała? Przez tę głupią dumę, która i mnie nie pozwoliła do ciebie zadzwonić?

- Powiedz Sarze, że już do niej jadę.

Po piętnastu minutach dzwoniła do drzwi. Kiedy szli na górę, Cody nieśmiało uprzedził:

- Sara przygotowała trzy książeczki. Znosi się na długi wieczór.

Na widok Lauren dziewczynka zerwała się z łóżka. Czteroletnie nóżki biegły w zawrotnym tempie. Wpadła prosto w ramiona Lauren.

- Ja... tak za tobą tęskniłam.

Przytuliła małą i ucałowała mokrą od łez, zaczerwienioną buzię.

- Moja myszko maleńka: Ja też za tobą tęskniłam.

Potem, nie wypuszczając się z objęć, ułożyły się obie na łóżku, ze wszystkimi trzema książeczkami. Kiedy Lauren skończyła czytać ostatnią bajkę, Sara poprosiła, aby opowiedziała jej jeszcze o króliczku, który zagubił się w lesie. Gdy króliczek szczęśliwie odnalazł drogę do domu, Lauren uściskała senną dziewczynkę i wyszła z pokoju, zostawiając ją z ojcem.

Czekała na Cody'ego w salonie.

- Lauren, musimy porozmawiać.

- Chyba tak.

- Lauren, ty wiesz, czego pragnę dla mojego dziecka.

- Oczywiście. Żeby miało ojca i matkę w domu, w którym czuje się bezpieczne i szczęśliwe.

- Tak. I co postanowiłaś?

- Że nie rzucę mojej pracy, chociażby dlatego, że powodzenie firmy moich rodziców w dużej mierze zależy ode mnie...

Już zobaczyła w jego oczach gniew... rozpacz?

- Ale mogę przecież pracować w domu.

- Tutaj?

- Oczywiście. Do pracy potrzebny mi telefon, komputer i deska kreślarska. Gdybym mogła wstawić moje rzeczy do pokoju gościnnego...

- A Sara?

- Cody! Przecież mogę pracować nad projektem, kiedy Sara śpi, po obiedzie albo wieczorem. Mogę wziąć ze sobą szkicownik do ogrodu, rysować i patrzeć, jak mała się bawi.

- Może urządzić pracownię na werandzie?

- Zrezygnowałbyś z werandy?

- Naturalnie! Tam jest dużo miejsca, mogłabyś spokojnie się rozłożyć, dla Sary byłoby też sporo miejsca do zabawy.

- Cody mówił teraz szybko, był pełen zapachu. - Poza tym weranda jest na parterze, będzie wygodniej, kiedy przyjdą do ciebie interesanci.

- Tak, Cody, wydaje mi się, że to wszystko można jakoś zorganizować. Jest tylko jeszcze jedna rzecz, o którą muszę cię zapytać.

- Jaka?

- Cody, małżeństwo jest ci potrzebne, to wiem. Ale czy ty... czy ty tego chcesz?

- Bardzo chcę.

- Dla dobra Sary, tak?

- Nie tylko - szepnął, przyciągając ją do siebie. - Chcę tego małżeństwa dla mnie, dla samego siebie.

Żarliwy pocałunek powiedział Lauren, że Cody jej pragnie, bo inaczej jego usta nie byłyby tak gorące, a ręce tak niecierpliwe,

- Cody? Posłuchaj... Ty... ty będziesz pierwszy.

Ręce straciły niecierpliwość, objęły ją tylko. Ostrożnie, delikatnie.

- Naprawdę? Lauren?

- Tak. Bo ja czekałam... z tym... specjalnie.

- Lauren?

- Tak?

- Nie będę cię do niczego zmuszał. Ani teraz, ani po ślubie. Powiesz mi, kiedy.

- Tak, powiem.

Tak, Cody, powiem. Tylko tobie. Bo czekałam na ciebie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na godzinę przed ślubem Lauren, w długiej atlasowej sukni, ozdobionej koronkami i delikatną aplikacją, stała w saloniku na plebanii, odwrócona plecami do swojej długoletniej przyjaciółki, Eve Coleburn.

- Gotowe - zakomunikowała Eve, zapinając ostatni guziczek. - Masz prześliczną suknię, szalenie elegancką.

Eve i Lauren znały się od lat i choć Eve po wyjściu za mąż przeniosła się do Denver, ich przyjaźń trwała nadal. Ponieważ Kim mogła przyjść dopiero przed samym rozpoczęciem ceremonii, Eve pomagała Lauren ubrać się do ślubu.

Przypięła tren, który miękko, jak obłok mgły, opadł na suknię. Lauren westchnęła cicho. Jak bardzo chciała, aby w tym dniu nie tylko jej suknia była piękna! Kiedy Eve

ostrożnie zdejmowała z oparcia krzesła welon z tiulu, Lauren przyjrzała się przyjaciółce. Ciemne włosy splecione we francuski warkocz, długa, wąska suknia z aksamitu w kolorze soczystej zieleni, podkreślająca znakomitą figurę. Nikt by nie przypuszczał, że sześć tygodni temu Eve urodziła dziecko.

- Coś nie tak, Lauren? - spytała druhna, zajęta przypinaniem stroika. - Minę masz raczej niewesołą.

- To nerwy - uśmiechnęła się blado. - W taki dzień trudno nie mieć tremy.

- Wydaje mi się, że to nie tylko trema. Lauren, coś mi tu nie pasuje. Przed kilkoma tygodniami, kiedy byłaś u mnie, nie mówiłaś, że z kimś się spotykasz. Potem nagle dzwonisz, że za tydzień ślub!

Prawdziwa przyczyna małżeństwa pozostała tajemnicą. Lauren bała się, że rodzice wpadną w rozpacz, a Rob... Rob po prostu dostanie szału. Nie mogła też przewidzieć reakcji Kim. Teraz jednak, kiedy godzina ślubu zbliżała się nieuchronnie, a obok krzątała się miła, zatroskana Eve, Lauren nie wytrzymała.

- Och, Eve, ja wychodzę za Cody'ego tylko po to, żeby teściowa nie odebrała mu dziecka.

Ku jej ogromnemu zdumieniu, przyjaciółka zachowała całkowity spokój.

- Czy to jest rzeczywiście jedyny powód waszego małżeństwa?

- Nie - przyznała szczerze Lauren. - Znam Cody'ego od lat, chodziliśmy do tej samej szkoły. Już wtedy podobał mi się. Eve, ja go kocham, ale...

- Co „ale”, maleńka?

- Nie jestem pewna, czy on w ogóle coś do mnie czuje! - wybuchnęła rozżalona Lauren. - Wiem, że pociągam go jako kobieta, nie sądzę jednak, żeby było to jakieś głębsze

uczucie. Eve, chyba oszalałam, decydując się na to małżeństwo. To szaleństwo!

- Wcale nie - oznajmiła spokojnie Eve. - Ja też, kiedy wychodziłam za Huntera, nie byłam pewna, czy mnie kocha. Ale ja kochałam na pewno.

- Mówisz poważnie? - spytała zdumiona Lauren, której trudno było wyobrazić sobie bardziej kochającą się parę niż Eve i Hunter.

- Najzupełniej poważnie. Byłam w sytuacji bez wyjścia. Ojciec zagroził, że wydziedziczy mnie, jeśli w ciągu roku nie znajdę sobie męża.

- Okropność! Eve, to znaczy, że nie znałaś dobrze Huntera?

- Znałam go bardzo dobrze. To była długa znajomość, trwająca kilka lat, w międzyczasie nawet mi się oświadczył, ale go nie przyjąłem. O powodach nie ma sensu teraz mówić. W każdym razie, dopiero kiedy ojciec postawił ultimatum, podjęłam decyzję. Przecież zawsze kochałam Huntera, ale, powtarzam, do ostatniej chwili nie byłam pewna jego uczuć.

- A jak jest teraz? - spytała cicho Lauren.

- Teraz? Teraz jest cudownie - rozpromieniła się Eve. - A odkąd mamy naszą Carly Ann, czuję się tak szczęśliwa, tak spełniona, że nie potrafię wyrazić tego słowami.

- Mieć własne dziecko! - westchnęła Lauren. - To musi być cudowne. Wiesz, nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła zająć się Sarą, jak prawdziwa matka. Może kiedyś będziemy mieli z Codym własne dzieci? Och, Eve, tak chciałabym...

- Co, kochanie?

- Żeby Cody zapomniał dziś o przeszłości, o tym, że nasze małżeństwo wynika z jakiegoś tam układu. Żeby ten dzień był prawdziwym początkiem nowego życia.



Eve nie spuszczała wzroku z przyjaciółki i kiedy Lauren zamilkła, wzięła ją mocno za ramiona i spojrzała prosto w oczy.

- Lauren - powiedziała poważnym tonem - wszystko jest możliwe, być może Cody pragnie tego samego. Najważniejsze jednak jest to, abyś ty sama była całkowicie przekonana, że postępujesz słusznie. Nie wolno ci mieć żadnych wątpliwości. Lauren, jeszcze jest czas, żeby się zastanowić.

- Myślałam o tym, Eve, myślałam dzień i noc. Boję się tego małżeństwa, ale jednocześnie, kiedy pomyślę, że mogłabym nie wyjść za Cody'ego... - Głos Lauren załamał się.  
- Nie, to niemożliwe. Eve, ja naprawdę bardzo chcę tego małżeństwa.

- A więc dość smutnych rozmyślań! - Eve pogłaskała serdecznie przyjaciółkę po ramieniu. - Ciesz się tym dniem, Lauren! Wszystko będzie dobrze.

Niebawem nadciągnęła reszta wzruszonych i przejętych MacMillanów. Matka Lauren ze łzami w oczach przytuliła córkę.

- Życzę ci, żebyś całe życie była tak szczęśliwa, jak ja z twoim ojcem.

A potem pan MacMillan, wesoły, łysiejący pan z brzuszkiem, pochrzäkując ze wzruszenia, podszedł do córki i podał jej ramię.

- Chodź, kochanie, już czas!

Przez ułamek sekundy Lauren poczuła paniczny strach, potem jednak ufnie wzięła ojca pod rękę. Powoli, dostojnie wyszli z plebanii, przebyli krótką odległość, dzielącą ją od kościoła, i weszli do kruchty. Rozległy się dźwięki organów. Kim i Eve ustawiły się po obu stronach wejścia. Wzrok Lauren zarejestrował Roba, prowadzącego matkę do ławek,

ciemną główkę Sary, przytuloną do Dolores oraz daleko, przy ołtarzu, wysoką postać księdza.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Na dany przez księdza znak Kim i Eve ruszyły powoli środkiem kościoła, jednocześnie przy ołtarzu pojawiły się dwie męskie postacie: Cody i Eli. Cody w czarnym smokingu wydał się Lauren niebotycznie wysoki. Ksiądz uczynił jeszcze jeden znak i Lauren, pod ramię ze swym ojcem, ukazała się w drzwiach, prowadzących z kruchty do kościoła. Dźwięki muzyki, teraz głośniejsze i jeszcze bardziej uroczyste, ogłosiły światu, że oto nadchodzi panna młoda.

Cody patrzył na zbliżającą się Lauren i na jedną krótką chwilę czas zatrzymał się w miejscu. Była taka piękna. Smukła jak brzoźka, spowita w jasny obłok welonu i trenu. Kiedy mógł już dojrzeć szeroko otwarte sarnie oczy, pojął, że nadchodzi kobieta, której pragnął jak żadnej innej.

Nie, nie będzie żadnych uniesień. Przeżywał to już, kiedy prowadzono do niego Gretchen. Wierzył w miłość, w oddanie kobiety dla męża i dziecka. Przekonał się, że samo małżeństwo nie jest receptą na szczęście. A to małżeństwo, z Lauren, owszem, jest receptą, ale nie na ich szczęście, tylko na szczęście jego dziecka.

Lauren przekazała bukiet Kim, złożyła dłoń w dłoni Cody'ego i stanęli przed obliczem księdza. Wielebny Corbett powiedział wiele pięknych, mądrych zdań, jednak żadne z nich nie poruszyło Cody'ego. Tak, jak postanowił. Żadnych wzruszeń ani oczekiwań, bo wtedy nie będzie rozczarowań. Lauren będzie przyjacielem, skoncentrują się na dziecku i życie potoczy się gładko. Słowa przysięgi powtarzał mocnym, zdecydowanym głosem, jednak jej głos zadrżał i Cody pomyślał, że Lauren żałuje swej decyzji. Być może przypo-

mniała sobie, jak ją kiedyś zranił. Jednak zdołała się opanować i dźwięcznym, mocnym głosem dokończyła przysięgę. Na znak dany przez księdza nałożyli obrączki. Proste, złote obrączki, inne niż wysadzany diamentami klejnot, jaki wtedy wymarzyła sobie Gretchen.

Ksiądz pobłogosławił ich i ogłosił mężem i żoną. Teraz mężowi wolno było pocałować żonę. A więc ostatni punkt ceremonii. Cody delikatnie położył dłonie na ramionach Lauren, na chłodno odszukał wzrokiem usta. Tak, jak nakazuje rytuał, pochylił głowę, pocałował. I czas znów zatrzymał się w miejscu...

Zagrzmiały organy i świeżo poślubiona para wolnym krokiem zeszła po schodach ołtarza. Nagle od strony ławek pojawiła się mała postać, zmierzająca biegiem do nowożeńców. To Sara, której w końcu udało się wymknąć babci. Ręce ojca uniosły dziewczynkę do góry, na moment dziecko utonęło w atlasowych ramionach Lauren, a potem ojciec wziął ją za jedną rączkę, Lauren za drugą i wszyscy troje dostojnym krokiem przeszli środkiem kościoła.

Kiedy zatrzymali się w kruchcie, Sara zaczęła nerwowo szarpać ojca za rękaw:

- Tatusiu, mówiłeś mi już, ale powiedz jeszcze raz. Lauren na pewno pojedzie z nami do domu?

- Tak, kochanie. Teraz będzie przyjęcie, a potem wszyscy troje wrócimy do domu.

- We troje? Na zawsze?

- Na zawsze, kochanie, na zawsze.

Próg pięknie udekorowanej sali, w której odbywało się przyjęcie, Lauren i Cody przekroczyli przy uroczystych dźwiękach fortepianu. Rozległy się gromkie brawa i młoda para, rozdając uśmiechy na prawo i lewo, przeszła do stołu,

ustawionego na honorowym miejscu. Nadal więc było pięknie i uroczyście, tak jak to sobie wymarzyła Lauren. Ale nie do końca. Jej mąż nie darzył jej uczuciem, a piękna i porywająca ceremonia w kościele była dla niego po prostu eleganckim załatwieniem sprawy. Jednak roześmiane, radosne twarze rodziny i przyjaciół natchnęły ją optymizmem. Trzeba wierzyć, pomyślała, że życie jest piękne i pełne miłości, a wtedy stanie się to prawdą.

Nagle, koło kolan Lauren, pojawiła się ciemna główka. Niebieskie oczy spojrzały błagalnie:

- Mogę siedzieć z wami? Proooszę!

- Niestety, skarbie, powinnaś siedzieć koło babci - zarządził ojciec.

- Ale ja tak proszę!

Usta dziewczynki zaczynały wyginać się w niebezpieczną podkówkę i Lauren pospieszyła z interwencją.

- Wiesz co, kotku? Teraz pójdziesz do babci, przecież jej smutno tak siedzieć samej. A kiedy pokroimy tort, przybiegniesz do nas i razem zjemy deser. Zgoda?

- Zgoda! - Dziewczynka natychmiast odzyskała humor.  
- Biegnę powiedzieć babci.

Cody uważnie obserwował całą scenę.

- Naprawdę nie będzie ci przeszkadzało, kiedy przy nas usiądzie?

- Oczywiście, że nie. Przecież i dla niej ten dzień jest niezwykły.

- Myślę, że świetnie sobie z nią poradzisz.

- To jest naprawdę kochane dziecko, Cody.

Przyjęcie upływało w miłej atmosferze. W końcu nadszedł moment kulminacyjny: krajanie weselnego, tortu. Kiedy nowożeńcy, przy aplauzie gości, sprawnie uporali się ze swoim zadaniem, rozbawiony Cody wziął mały kawałek tortu

i włożył do ust Lauren. Jego palce musnęły jej wargi. Zadrżała. Przełknęła i teraz ona, chcąc odpłacić pięknym za nadobne, wsunęła kawałeczek tortu między rozchyłone wargi Cody'ego. Syknęła. Mocne zęby męża zacisnęły się na jej palcu. Nie puszczały. Spojrzała mu w oczy. Już nie niebieskie. Granatowe. Czyżby namiętność? A więc jednak... coś się zaczęło!

Zgodnie z obietnicą, mała Sara, pękając z dumy, konsumowała tort, usadzona na dodatkowym krześle, wstawionym między krzesła Lauren i Cody'ego. Lauren poszukała wzrokiem Dolores. Siedziała sztywno przy stole MacMillanów, nie biorąc udziału w rozmowie, wpatrzona we wnuczkę. A więc jednak samotność, pomyślała Lauren.

- Cody - zapytała półgłosem, nachylając się do męża.  
- Czy pani de Witt spotyka się z kimś?

- Masz na myśli faceta? Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Gra w brydża, chodzi do swoich przyjaciółek na plotki, ale nie słyszałem, żeby miała jakiegoś fatyganta.

- Wiesz, wydaje mi się, że to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Dolores doskonale wie, że jesteś dobrym ojcem. Twoja praca nie ma tu nic do rzeczy. Ona po prostu jest bardzo samotna i chce mieć Sarę przy sobie, aby jej życie znów nabrało sensu.

- Tak, ja to wiem, Lauren. Ale ona jednocześnie psuje Sarę, a ja nie pozwolę, żeby moja córka wyrosła na egoistkę.

- Nie przesadzaj, Cody. Dziadkowie są od tego, żeby rozpieszczać wnuki.

- Uważasz więc, że powinienem się zgodzić, żeby Dolores kupowała wszystko, o co Sara poprosi?

- Naturalnie, że nie! Jednak jestem pewna, że Dolores nie byłaby tak zawzięta, gdybyś był bardziej wyrozumiały i pozwolił jej spędzać z Sarą więcej czasu.

- Nie znasz jej, ona jest bardzo zaborcza. Dasz jej palec, weźmie całą rękę.

- No cóż, na pewno znasz ją lepiej - zgodziła się z westchnieniem Lauren. - Mimo wszystko wydaje mi się, że Dolores jest przede wszystkim smutna i samotna.

Nagle usłyszeli z tyłu wesoły, męski głos:

- Droga młoda paro! Czas na pierwszy taniec! Jesteście gotowi?

Cody spojrział pytająco na małżonkę. Skinęła głową.

- Saro, kochanie, biegnij teraz do babci, dobrze? - poprosiła łagodnie Lauren. - Na pewno stęskniła się za tobą.

Kiedy dziewczynka posłusznie wróciła pod skrzydła Dolores, Cody wstał, skłonił się przed Lauren i poprowadził ją na środek sali. Za chwilę wszyscy podziwiali młodą parę, kołyszącą się w takt starej, romantycznej ballady.

- No i jak? - spytał cicho Cody. - Jest właśnie tak, jak chciałaś?

- Tak, Cody, tak jak to sobie wymarzyłam.

Przez następną chwilę tańczyli w milczeniu.

- Może w kwietniu wyskoczmy gdzieś na parę dni - zaczął znów Cody. - Chcemy z Elim przyjąć do spółki jeszcze jednego lekarza, będę miał więc trochę luzu.

- Świetnie.

Rozmowa nie kleiła się. Trudno było poczuć się swobodnie pod obstrzałem tyłu spojrzeń. Na szczęście, kiedy zagrało następny kawałek, na parkiet tłumnie wylegli goście. Mniej więcej w połowie tańca przyzeglował do nich Eli, z rozpromienioną Dolores w objęciach. Starsi państwo poszeptali chwilę ze sobą i Eli wystąpił z prośbą:

- Cody, czy pozwolisz mi zatańczyć z twoją małżonką?

Panowie wymienili się partnerkami i Lauren kołysała się teraz w ramionach przesympatycznego siwowłosego doktora

o uśmiechu, który na pewno miał zbawienny wpływ na pacjentów.

- Chciałem porozmawiać z tobą, Lauren. Ogromnie się cieszę, że widzę was razem. Dobrze, że Cody się ożenił.

- No tak, ze względu na dziecko.

- Nie tylko. Także ze względu na siebie. Oczywiście, że potrzebny jest ktoś, kto Sarze zastąpi matkę, ale również Cody potrzebuje kogoś bliskiego.

Lauren pomyślała, że nikt inny nie zna tak dobrze jej męża, jak doktor Hastings.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Cody nie miał łatwego dzieciństwa. W młodości też bywało u niego różnie. No i teraz to niestety procentuje. On ciągle uważa, że wszystko powinien zrobić sam, a przecież nie można żyć tylko pracą i dzieckiem.

- Panie doktorze, czy Cody opowiadał panu o swojej pierwszej żonie?

- Nie, nigdy, ale z tobą na pewno będzie o niej rozmawiał. Daj mu tylko trochę czasu.

Oczywiście, pomyślała, będę cierpliwa.

Do domu dotarli przed dwunastą. Sara, naturalnie, spała jak suseł. Cody wziął dziecko na ręce i poszli wszyscy na górę: Cody położyć małą, a Lauren do sypialni. Chciała zdjąć suknię, niestety, bez pomocy drugiej osoby okazało się to niemożliwe. Odpięła więc tylko tren, zdjęła welon i położyła go na komodzie. Zajrzała do szafy, potem do garderoby. Pomyślała, że to dziwne uczucie, kiedy widzi się swoje rzeczy w zupełnie nowym miejscu. Odszukała koszulę nocną i szlafroczek, kupione specjalnie na tę noc. Jasnoróżowe, jedwabne, chyba najbardziej kobiece rzeczy, jakie kiedykolwiek sobie sprawiła.

- Nie zdjęłaś jeszcze sukni? - spytał zdziwiony Cody, stając na progu.

- Nie mogę rozpiąć guziczków na plecach - odpowiedziała, zła, że głos jej trochę zadrżał.

Cody zdjął smoking i powiesił na oparciu krzesła.

- Zobaczmy, jak się do tego zabrać - zażartował. - Odwróć się.

Kiedy rozpiął pierwszy guziczek, jego dłoń bezwiednie prześlizgnęła się po aksamitnej skórze Lauren. Potem rozpiął drugi i trzeci, a ona, przytrzymując opadającą suknię, wstrzymywała oddech. Odbywało się to w absolutnej ciszy i trwało niezmiernie długo.

- Gotowe - oznajmił Cody. - Chcesz iść pierwsza do łazienki?

- Dobrze - odpowiedziała, chwytając koszulę i szlafroczek. - Nie będę długo.

Wyszła po kwadransie, świeża i pachnąca, w szlafroczku, przewiazanym jedwabną taśmą, i z suknią, przewieszoną przez rękę. Spojrzała na Cody'ego i zamarła. Był nagi do pasa. Po raz pierwszy zobaczyła jego wspianiały, umięśniony tors, opalony na brąz. Starając się na niego nie patrzeć, przemknęła do garderoby i powiesiła suknię na ramiączku. Kiedy wróciła do sypialni, Cody'ego nie było, a z łazienki dobiegał cichy szum wody. Światło górne było zgaszone, paliła się tylko nocna lampka przy łóżku. Lauren zdjęła szlafrok i wsunęła się pod kołdrę. Wydawało jej się, że czeka nieskończenie długo. Cody wszedł, podszedł do łóżka z drugiej strony i zgasił lampkę. Słyszała, jak układa się w pościeli. Leżeli teraz w ciemnościach, blisko, ale dostatecznie daleko, aby się nie dotknąć.

- Sara nie obudziła się? - spytała Lauren.



- Tylko na chwilę, była półprzytomna. Pierwszy raz w życiu tak zabalowała.

Zapadła długa cisza.

- Lauren?

- Tak, słucham?

- Chciałem ci powiedzieć, że, tak jak mówiłem, nie będę cię do niczego zmuszać. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko zdarzyło się tak szybko i oboje potrzebujemy trochę czasu.

- Tak. To dobrze, Cody, że tak właśnie myślisz.

- Jutro rano nie muszę iść do szpitala, Eli zrobi za mnie obchód. Może rano pójdziemy gdzieś na śniadanie. We trójkę, żeby się przyzwyczajać, że jesteśmy rodziną.

- Bardzo dobry pomysł.

Znów tylko cisza i ciemność.

- Dobranoc, Cody.

- Dobranoc, Lauren.

W mroźne, sobotnie popołudnie Cody i Barry zbliżali się do frontowych drzwi domu Cody'ego. Byli po kilku godzinach ostrej gry w kosza, dzięki czemu obaj odreagowywali stresy z całego tygodnia. Tej soboty Cody grał wyjątkowo ostro. Na miarę swojego stresu. Dwie noce u boku Lauren, noce oczekiwania na jakiś znak, ale żona dwukrotnie powiedziała „dobranoc”, a on postanowił dotrzymać obietnicy. Nie zamierzał działać pochopnie i wszystkiego zepsuć. Może też nie chciał powtórzyć starych omyłek, choć właściwie nie bardzo wiedział, jakie błędy kiedyś popełnił. Kiedyś, wobec innej kobiety. Wobec Gretchen. Może nawet ich nie popełnił, tylko w jego związku z Gretchen od samego początku czegoś brakowało? Czego?

Barry dzierżył w ręku pudło zapakowane w kolorowy papier. Nie mógł być na ich ślubie, ponieważ pilne sprawy

wezwały go do innego miasta, kupił jednak prezent i chciał go wręczyć osobiście żonie przyjaciela. Lauren była w kuchni. Stała przy kuchennym blacie, zajęta krajaniem jabłek na cząstki, które wrzucała do miseczki. W dzinsowych ogrodniczkach i sportowej koszuli w biało-czerwoną kratkę wyglądała uroczo i Cody pomyślał, że trzecia noc obok, ale z dala od Lauren, będzie torturą.

Na widok wchodzących mężczyzn Lauren uśmiechnęła się, odłożyła nóż i wytarła ręce w papierowy ręcznik. Barry postawił pudło na stole.

- Jestem Barry Sentz, nie wiem, czy mnie sobie przypominasz...

- Oczywiście, że sobie przypominam. Chodziłeś z Codym do jednej klasy.

- Zgadza się. Przepraszam, nie mogłem być na waszym ślubie, ale... - Barry rozejrzał się uważnie po kuchni - ale przyniosłem wam prezent. Mam nadzieję, że tego jeszcze nie macie.

Lauren zdarła papier i wyjęła z pudła piękny ekspres do cappuccino.

- Och, dziękujemy ci, Barry. Takiego ekspresu jeszcze nie mamy.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To świetnie! Wiesz, Lauren, nigdy bym nie przypuszczał, że ty i Cody kiedyś pobierzecie się. Szczególnie po tej wpadce z balem. Widocznie jednak należysz do kobiet, które umieją przebaczyć i zapomnieć.

Oczy Lauren zrobiły się zupełnie okrągłe. Uświadomiła sobie, że Barry doskonale pamięta wydarzenia sprzed lat i wcale się z tym nie kryje.

- Przeszłość należy pozostawić za sobą - mruknęła niewyraźnie, a Cody z kolei uświadomił sobie, że w sercu

Lauren pozostał jeszcze jakiś ślad. Koniecznie będzie musiał z nią o tym porozmawiać.

- Dziękujemy ci, Barry, za piękny prezent - powiedział.

Zapadła cisza i gość zorientował się, że jego uwaga była zupełnie nie na miejscu.

- To ja już lecę, mam ważne spotkanie. Miło było znów cię zobaczyć, Lauren.

- Mnie też. - Uśmiechnęła się z trudem i Barry jeszcze raz przeklął w duchu swój niewyparzony język.

- Trzymaj się, Cody. Zobaczymy się w sobotę. Nie odprowadzajcie mnie, znam drogę.

Kiedy wreszcie wyszedł, Cody rzucił kurtkę na krzesło i spytał:

- Sara śpi?

- Tak - odpowiedziała cicho i podeszła do blatu, wyraźnie zamierzając zająć się znów krajaniem jabłek.

- Lauren?

- Tak? - bąknęła, nie odwracając głowy.

- Lauren, przecież sama powiedziałaś, że przeszłość należy pozostawić za sobą.

Teraz odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Próbowałam, Cody. Zdaję sobie sprawę, że byłam młoda i naiwna i nie potrafiłam zrozumieć wielu rzeczy. Spotykałeś się ze mną, bo zerwałeś z Gretchen.

Czyżby? Przypomniał sobie szesnastoletnią, słodką, łagodną Lauren, która była jak balsam na jego skołatana duszę.

- Nieprawda! Gdyby Gretchen wtedy nie wróciła...

- Ale wróciła. I ty do niej wróciłeś - przerwała impulsive. Zaraz jednak dodała spokojniejszym głosem: - Cody, po raz pierwszy wymieniałeś przy mnie imię Gretchen. Może chcesz o niej porozmawiać? Jaka była? Jak umarła?

Przecież ja nic o niej nie wiem. Ja... ja postaram się wszystko zrozumieć.

- Zginęła w wypadku samochodowym - powiedział szybko. - Wraciała z oficjalnego spotkania, było późno, droga oblodzona. Samochód wpadł w poślizg. To wszystko.

Lauren nie spuszczała z niego wzroku.

- Czy rozmawiasz z Sarą o jej matce?

- Tak, kiedy mnie o nią pyta. Wtedy rozmawiamy i oglądamy stare albumy. Ale pyta raczej rzadko. Może dlatego, że wie, że ja... ja bardzo ją kocham.

- Tak, na pewno tak - przytaknęła Lauren. Spojrzała na niego jeszcze raz uważnie i oznajmiła: - Idę na górę, zobaczę, może mała się obudziła i będzie chciała popatrzeć, jak piecze się szarlotkę.

Odeszła, a tak bardzo chciał ją zatrzymać, przytulić, jak zwyczajny mąż, spragniony swojej żony. Zapomnieć o smutnym, nieudanym małżeństwie z Gretchen. Trzymać w ramionach Lauren. Ale był brudny, spocony po grze, i przecież nie wiedział, czy ona chce, aby trzymał ją w ramionach. Czy naprawdę przebaczyła mu to, co stało się trzynaście lat temu. Tak. Na pewno Lauren potrzebuje jeszcze czasu. A on poczeka. Cierpliwie. Tyko na jak długo starczy mu tej cierpliwości?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nadeszła wiosna, najbardziej gorący okres w branży ogrodniczej. Kiedy ruch w firmie MacMillanów osiągnął apogeum, do akcji włączyli się również pozostali członkowie rodziny. W rezultacie przy kasie królowała mama MacMillan, Kim urzędowała w sklepie, doglądając jednocześnie

Lindsey, Sary i Matta, zajętych układaniem gigantycznych puzzli, a reszta klanu, razem z Codym, który samorzutnie zaofiarował pomoc, krzątała się na zewnątrz.

Cody, od dwudziestu minut zajęty ładowaniem drzewek na ciężarówkę, nie spuszczał z oka Lauren, która, oparta o ścianę, rozmawiała z jakimś mężczyzną. Facet był w średnim wieku i wyglądał całkiem nieźle. Zaabsorbowany drzewkami, a jeszcze bardziej żoną, Cody nie zauważył zbliżającego się szwagra.

- Nie przypuszczałem, że lekarze potrafią używać również mięśni! - zawołał wesoło Rob, dotychczas bardzo sztywny i oficjalny wobec męża Lauren. - Dzięki, Cody, że nam pomogłeś.

- Trochę się machało rękami - odpowiedział z uśmiechem Cody. - Podczas studiów dorabiałem na budowie.

- Masz dziś dyżur pod telefonem?

- Tak, ale na szczęście pager milczy.

- Wydaje mi się, że przez te dyżury nie pojechaliście w podróż poślubną.

Cody domyślił się, że starszy brat Lauren chce go trochę wy badać.

- Między innymi, ale przede wszystkim z powodu Sary - wyjaśnił spokojnie. - Ustaliliśmy z Lauren, że lepiej będzie, jeśli teraz posiedzimy w domu i mała przyzwyczai się do niej. Wyjedziemy później.

Spojrzał na żonę. Rozmowa wcale nie dobiegła końca, a wręcz przeciwnie, bo Lauren i jej rozmówca wyglądali na rozbawionych. Na dodatek facet najspokojniej w świecie trzymał Lauren za łokieć!

- Rob, co to za gość rozmawia z Lauren? Tam, koło wejścia!

Rob spojrział we wskazanym kierunku.

- Ach, ten? To Craig Davis, architekt z zespołu Davis, Willis i Green. Lauren współpracowała z nimi. Teraz chyba też robi projekt ogrodu do biurowca zaprojektowanego przez ten zespół. Zależy jej na tym projekcie, jeśli go przyjmą do realizacji, na pewno dostanie więcej zleceń.

Cody słuchał jednym uchem. Sprawy zawodowe małżonki, na pewno bardzo ważne, w tym momencie nie wydawały mu się zbyt istotne.

- Czy ten Davis jest żonaty?
- Nie, rozwiedziony. Dlaczego pytasz?
- Zobacz, jak się na nią gapi!
- Jak?

- Jakby w głowie było mu co innego - mruknął Cody. - Żadne tam projekty ogrodów...

- Możesz przerwać tę rozmowę - odpowiedział solidarnie Rob.

- Chyba tak zrobię! - zdecydował Cody. - Załadowałem już wszystko, o co prosiłeś.

- Dzięki! Aha, Cody! Myślę, że dobrze, żebyś wiedział. Zanim zjawileś się w Birch Creek, Lauren spotykała się z Craigiem. Mówiła o nim całkiem poważnie,

Z rozmów z Lauren Cody wywnioskował, że w jej życiu nie było wielu mężczyzn. Powiedziała też wyraźnie, że to on będzie tym pierwszym. Ale Cody'emu w ogóle nie pasowało, że jego żona spotykała się z kimkolwiek i że potrafi być miła dla innego mężczyzny niż Cody Granger.

Na widok podchodzącego do niej męża Lauren uśmiechnęła się tak jak zwykle, czyli, zdaniem Cody'ego, najpiękniej na świecie - o czym zresztą nie wiedziała - i natychmiast pospieszyła z informacją:

- Sara bawi się układanką, razem z Lindsey i Mattem. Przedtem byłyśmy w cieplarni, dzielnie pomagała mi ustawiać doniczki.

- Świetnie - mruknął Cody, który zamierzał rozwikłać zupełnie inną zagadkę. - Czy mogłabyś przedstawić mnie panu?

- Przepraszam - zmitygowała się Lauren. - Craig, to mój mąż, Cody Granger. Cody, to Craig Davis, architekt.

Panowie uprzejmie skinęli głowami, żaden jednak nie wyciągnął ręki.

- Chciałbym panu pogratulować żony - powiedział uprzejmie Craig. - Lauren ma nie tylko urodę, ale i talent.

- Dziękuję, wiem o tym - zgodził się Cody, który najchętniej porwałby piękną i wielce uzdolnioną kobietę w ramiona, i uciekł z nią w jakieś ustronne miejsce. - Pan wybaczy, mam z żoną pilną sprawę do omówienia.

- Trudno, siła wyższa! - Craig z wyraźną niechęcią ustępował placu. - Lauren, widzimy się w przyszłym miesiącu, o ile oczywiście los wcześniej nie zetknie nas ze sobą.

- Tak jest, szefie! - zgodziła się dziarsko.

Cody odczekał, aż Craig oddali się na stosowną odległość i zwrócił się do Lauren wyjątkowo obojętnym tonem:

- Pracujecie razem nad projektem?

- W pewnym sensie. Oni projektują budynek, a ja ogród.

- Czyli jakoś tam współpracujecie?

- Tak, i czasami musimy się spotkać.

- A teraz, gdzie się spotykacie? U niego w firmie?

- Może u niego, a może on przyjdzie do mnie do domu. Cody, jeśli tobie to nie odpowiada, mogę spotkać się z nim tutaj, w Centrum.

- Nie ma potrzeby. Może przyjść do nas, przecież po to masz pracownię na werandzie. Chodzi mi o coś innego.

- O co?

- Rob powiedział mi, że spotykałaś się z tym Craigiem.

- Mój Boże! Parę razy byliśmy na obiedzie i to wszystko.

- Wszystko?

- Oczywiście - potwierdziła Lauren, choć na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Rob mówił, że podobno zanosilo się na coś poważniejszego.

Lauren pochylała głowę. Jej piękne włosy zaśniły w słońcu jak złoto.

- Może i tak - odpowiedziała po chwili. - Jednak Craig ciągle musiał gdzieś wyjeżdżać, a ja właściwie też byłam wciąż zajęta.

- Wydaje mi się, że Craig nadal liczy na coś więcej niż kontakty zawodowe.

- Mylisz się! On doskonale zdaje sobie sprawę, że jestem mężatką.

- Dla niektórych mężczyzn to żaden problem.

- I dla niektórych kobiet, tak? Cody? - Lauren uniosła głowę i spojrzała mężowi prosto w oczy. - Czy ty mi nie ufasz?

Zawahał się przez moment.

- Jesteśmy ze sobą jeszcze bardzo krótko - odrzekł. - A ty, Lauren, czy ty mi ufasz?

Nie łudził się, że odpowie twierdząco. Po tym, co jej zrobił, kiedy była w wieku, w którym takie rany są wyjątkowo bolesne, na pewno nie potrafi jeszcze zaufać mu do końca. Nie mylił się.



- Powiem to samo, Cody. Jesteśmy ze sobą jeszcze bardzo krótko - powiedziała szybko Lauren. - Pójdę już, muszę zrobić inwentaryzację lili. Wezmę ze sobą dziewczynki.

Tak, jeszcze mu nie ufa. Nagle zapragnął, żeby było inaczej. I zdziwił się, skąd u niego się to wzięło, skoro wydawało mu się, że już posiadał tę mądrość, która głosi, że nigdy nie należy niczego pragnąć.

Zbliżała się czwarta, kiedy na parking przed Centrum Ogrodnicze MacMilianów wtoczył się samochód pani de Witt.

- Na Boga, a co ty tu robisz? - zakrzyknęła Dolores wielkim głosem na widok doktora Grangera, ładującego skrzynki z bratkami do obcego samochodu.

- Pan właśnie kupił kwiatki - wyjaśnił uprzejmie Cody.  
- Skąd wiedziałaś, że tu będę?

- Wcale nie wiedziałam. Przyjechałam, bo chcę pogadać z Lauren.

- O czym?

- Ach, takie tam babskie sprawy! - Dolores machnęła lekceważąco ręką. - Cody, czy Sara też jest tutaj?

- Tak. Teraz poszły z Lauren do cieplarni.

- Do cieplarni? Mam nadzieję, że Lauren będzie uważać na nią. Cieplarnia nie jest odpowiednim miejscem dla małego dziecka.

Cody pomyślał o Gretchen, która w ogóle nie chciała uważać na dziecko i poczuł, że ogarnia go złość.

- Nie musisz się obawiać, Dolores! - powiedział ostrym tonem. - Lauren na pewno dopilnuje małej. Moja obecna żona jest zupełnie inna niż twoja córka. Lauren kocha dzieci i wie, jak się nimi zająć.

Po raz pierwszy otwarcie skrytykował wady Gretchen. Nigdy nie mówił o tym z Dolores, uważając to za bezce-

lowe, ponieważ pani de Witt zawsze sprawiała wrażenie, że dla niej córka jest tylko i wyłącznie wzorem doskonałości. Po raz pierwszy nie wytrzymał, jednak, widząc bladą jak płótno twarz starszej pani, pożałował, że dał się ponieść emocjom.

- Przepraszam, Dolores - powiedział łagodnie, kładąc rękę na ramieniu pani de Witt. - Byłem może zbyt ostry.

- Tak, byłeś! - syknęła, stracając jego rękę. - Podejrzewam, że chciałbyś powiedzieć mi jeszcze wiele innych rzeczy, może jednak odłożymy to na później. Teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym zobaczyć się z moją wnuczką.

Po kwadransie Cody, czując potrzebę załagodzenia sytuacji, ruszył na poszukiwanie Dolores. Zdziwił się, kiedy, zamiast w cieplarni, zastał ją w sklepie, zajętą rozmową z Kim. Dosłyszał ostatnie zdanie:

- Myślę, że są szczęśliwi, proszę pani - mówiła trochę speszona Kim. - Wyjazd planują w kwietniu.

Zamiast więc załagodzić sytuację, Cody był zmuszony wsadzić Dolores jeszcze jedną szpilkę.

- Jeśli potrzebne ci są bliższe informacje na temat mojego małżeństwa, powinnaś zgłosić się do mnie!

Dolores nie zdążyła odparować ciosu, ponieważ w drzwiach sklepu ukazała się Sara, trzymająca w rączkach małą doniczkę z prześliczną lilią.

- Babuniu! To dla ciebie! Lauren kazała ci to dać!

Za Sarą ukazała się Lauren. Spojrzenia obu kobiet spotkały się, a potem Dolores pochyliła się nad dziewczynką.

- Dziękuję ci, skarbie - powiedziała nagle bardzo wzruszonym głosem.

Lauren podeszła prosto do Cody'ego i dyskretnie odciągnęła go na bok.

- Cody - szepnęła konspiracyjnie - zaprosimy Dolores do nas na kolację. Zrobię coś naprędce, zresztą, jedzenie nie jest najważniejsze...

- Lauren, ostrzegam - odrzekł półgłosem. - Ona węszy. Przed chwilą wypytywała Kim.

- No i co z tego? Przede wszystkim to samotna, starsza osoba, bez rodziny - szeptała żarliwie Lauren. - To znaczy ma rodzinę, Cody. Sara jest jej rodziną, a więc i my także, w jakimś sensie. Powinniśmy być dla Dolores serdeczni i trzeba w końcu ją przekonać, że nikt nie zabrania jej widywać się z wnuczką.

- Zrozum, Lauren, ja tylko chcę, żeby nie wywierała złego wpływu na Sarę.

- Więc zrozum również, że na Sarę wpływać będziemy przede wszystkim my, rozumiesz? A jeśli Dolores, twoim zdaniem, robi coś nie tak, to zawsze będziesz mógł zareagować. Zresztą, nie warto martwić się na zapas.

- Wiesz co, Lauren? Ty chyba jesteś aniołem!

Zarumieniła się, jak zwykle, gdy słyszała coś dobrego o sobie.

- Cody, dla Sary jest to najlepsza sytuacja. Dla nas wszystkich. Jeśli zaprzyjaźnimy się, nie będziemy sobie szkodzić. Idę do Dolores.

Patrzył, jak Lauren podchodzi do pani de Witt, coś jej tłumaczy i nagle wyraz zaskoczenia na twarzy Dolores ustąpił wzruszeniu i uldze. Tak, niewątpliwie jego żona była aniołem. Do tego tak uroczym i prześlicznym, że najwyższy czas, aby ich małżeństwo przestało istnieć tylko na papierze.

Szlafroczek został w łazience. Lauren zjawiała się w sypialni, ubrana tylko w koszulę nocną, tę, którą kupiła na noc poślubną. Zrobiła to specjalnie. Dziś, kiedy Cody przerwał

jej rozmowę z Cragiem, zobaczyła w oczach męża coś, co dawało nadzieję na to, że pragnie jej jak mężczyzna. Jak zakochany mężczyzna.

Siedział na krześle, z nogami opartymi na brzegu łóżka, i czytał czasopismo medyczne. Był tylko w spodenkach od piżamy. Lauren spojrzała na imponujący tors męża i poczuła ucisk w żołądku. Taki sam ucisk poczuł Cody, kiedy zobaczył wążiutkie ramiączka i ponętne kształty, rysujące się pod cienkim jedwabiem. Szybko zdjął nogi z łóżka, a Lauren poczuła się dziwnie zdenerwowana.

- Miło było, prawda? - powiedziała prędko. - Chociaż wydaje mi się, że pani de Witt na kolację jada raczej ostrygi, a nie zapiekanekę. - Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. - W każdym razie lody zostały przełamane - oświadczyła. - Teraz pora na kolejny ruch. Na niedzielny obiad zapraszam rodziców, Dolores i... zgadnij, kogo jeszcze? - Odczekała chwilę i obwieściła z triumfem: - Doktora Hastingsa!

Cody spojrział z niedowierzaniem.

- Dolores i Eli?

- A tak! Coś mi się wydaje, że po naszym weselu starsi państwo znaleźli wspólny język.

- Pożyjemy, zobaczymy - skwitował Cody, rzucając czasopismo na łóżko. - Lauren, wy jesteście bardzo dobrą rodziną, prawda?

- Nie rozumiem - zdziwiła się, przysiadając na brzegu łóżka.

- Przyglądałem się wam. Nigdy nie widziałem tak żywej, zgodnej rodziny.

- Po prostu jesteśmy tak zwaną kochającą się rodziną - zażartowała Lauren.

- Myślę, że to bardzo ważne, jeśli można kochać i szanować swoich rodziców.

- A ty... ty nie szanowałaś swoich? - spytała ostrożnie Lauren. Pamiętała, jak po szkole krążyły różne pogłoski na temat ojca Cody'ego.

- Ojca na pewno nie - powiedział twardym głosem. - On większość czasu spędzał w więzieniu. Wychodził na wolność tylko po to, żeby się urządzić, zagrać w pokera i znów się w coś wplątać. Pamiętam, jak przychodziła po niego policja. To był pijak i drań.

- Musiało być ci bardzo ciężko - powiedziała cicho.

- Najciężej było patrzeć na matkę. Pracowała dzień i noc, żebyśmy nie stracili dachu nad głową. Kiedy byłem starszy, zapytałem, dlaczego od niego nie odejdzie. Powiedziała, że go kocha. A on miał ją za nic. Wykorzystywał ją, lżył...

Cody zamilkł na chwilę. Spojrzał w okno.

- Umarła, kiedy byłem w college'u - powiedział cicho.

- Na zapalenie płuc. Nie poszła do lekarza, bo nie miała pieniędzy. Dlaczego nie poszła do Eliego? Przecież on nie wzięłby od niej ani grosza. Ale mama była zbyt dumna. I umarła.

- Cody, ile ty przeszedłeś - szepnęła Lauren, przejęta jego bólem.

- Tak to było - powiedział już spokojniej. - Wiesz, Lauren, nigdy z nikim o tym nie rozmawiam. Dopiero z tobą...

- Jestem ci wdzięczna, że mi zaufałeś.

Pomyślała, że tak właśnie rodzi się bliskość. Cody chyba pomyślał to samo, bo wstał z krzesła i usiadł na brzegu łóżka. Blisko. Bardzo blisko. Zanim dotknęły ją dłonie, czuła ciepło, bijące od jego ciała. Ogarnął ją ramionami. Podawała mu

usta. Tak, weź mnie, Cody. I kiedy czuła już, że wtapia się w niego, jak w najmilszą przystań, odezwał się pager.

Cody jęknął.

- Muszę odebrać, Lauren.

- T... tak - wyjąkała, jeszcze oszołomiona pocałunkiem.

Sprawdził wiadomość i natychmiast podszedł do telefonu. Szybko wystukał numer, potem przez chwilę słuchał swego rozmówcy i wydał dyspozycje:

- W porządku. Teraz dzwoń po doktora Singera, muszę z nim to skonsultować. Będę za dziesięć minut. - Odłożył słuchawkę. - Lauren, słyszałaś. Muszę jechać.

- Oczywiście, Cody, przecież jesteś lekarzem.

Spojrzał na nią jeszcze raz, jakby chciał coś powiedzieć, ale czas naglił. Błyskawicznie włożył dżinsy i T-shirt, wsunął nogi w adidasy, kucnął, aby zawiązać sznurowadła. Przed wyjściem podszedł do niej szybkim krokiem i delikatnie pocałował w usta.

- Śpij dobrze, Lauren.

Trzasnęły drzwi. Została sama i już zaczynała tęsknić. Nie, nie będzie spać. Poczeka, aż Cody wróci. Dziś, tak, dziś chce zostać jego żoną. Prawdziwą żoną. Posiedziała trochę, zamyślona, potem próbowała coś poczytać. Poszła popatrzeć na śpiące dziecko. Wróciła do sypialni, zgasiła światło i wsunęła się pod kołdrę. Leżała w ciemnościach, słuchając tykania zegara. Sen nie nadchodził. Dopiero o drugiej usłyszała ciche kroki.

Cody wszedł do sypialni i nie zapalając światła, przemknął do łazienki. Nie odezwała się. Pomyślała, że musi być bardzo zmęczony i powinien jak najszybciej zasnąć. Słyszała, jak wychodzi z łazienki i kładzie się do łóżka. Na moment znieruchomiał, jakby patrzył na nią, potem

słyszała, jak układa się w pościeli. Zasnął. Leżała cichutko, wsłuchana w miarowy oddech męża, i rozpierała ją radość. Radość, że dzisiejszego wieczoru Cody otworzył się przed nią, że może nareszcie zaczyna wytwarzać się ta więź, która połączy ich mocniej niż najbardziej uroczysty ślub. A jutro... jutro znowu jest dzień, który na pewno przyniesie coś dobrego.

Ten nowy dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny. Lauren prawie całe przedpołudnie spędziła z Sarą w parku. Wróciły do domu na lunch, a ponieważ pogoda nadal była piękna, Lauren rozsiadła się ze szkicownikiem w ogrodzie, popatrując na Sarę na huśtawce. Termin oddania projektu zbliżał się wielkimi krokami. Kochała swoją pracę i nigdy dotąd nie miała problemów z koncentracją. Nigdy jednak przedtem nie była mężatką.

Tego ranka obudziła się bardzo wcześnie. Cody był już na nogach i znów ubierał się w błyskawicznym tempie.

- Przecież ty prawie nie spałeś!

- Trudno! Chcę przed szpitalem zajrzeć do chorego, do którego wzywano mnie w nocy. To astmatyk, miał już kilka ataków. Muszę się upewnić, czy jego stan jest stabilny. Pośpij jeszcze trochę, Sara obudzi się dopiero za kilka godzin.

- Może zrobię ci śniadanie?

- Nie, dzięki, nakarmią mnie w szpitalu.

Nie pocałował jej, trudno, przecież bardzo się spieszył. Wkrótce wróci. Jak to cudownie żyć tak razem, czekać, aż będą sami...

Nagle usłyszała krzyk dziecka. Zerwała się z krzesła i spojrzała na huśtawkę. Była pusta. Sara, z zapłakaną buzią, z trudem usiłowała podnieść się z ziemi.

- Kochanie, co się stało?! - krzyknęła przerażona Lauren, podbiegając do dziewczynki.

- Spadłam. Bo ja chciałam pohuścić się jak Jim. On staje na huśtawce. Widziałam w parku.

Lauren wiedziała, że powinna zbesztać dziewczynkę, nie miała jednak serca krzyżeć na zapłakanego malucha. Utuliła więc, pokołysała w ramionach, a kiedy mała przestała płakać, przystąpiły do oględzin.

- Pokaż bródkę, kochanie. Boli, tak? Przyłożymy lód, i przestanie. A teraz biedne rączki. No tak, zdarłaś trochę skórę. Trzeba będzie przemyć.

- Ojejku! - zapiszczała Sara. - Będzie bolało?

- Tak, troszkę zapiecze - przyznała Lauren, wiedząc, że nie ma sensu oszukiwać dziecka. - Ale na to też jest rada. Podmucham i przestanie.

Po piętnastu minutach Sara z dumą patrzyła na obandażowane rączki. Potem Lauren wzięła dziecko na kolana i trzymając lód przy bróдке, przeczytała jej ulubioną bajeczkę. Zbliżała się pora drzemki. Zaprowadziła małą na górę, ułożyła w łóżeczku, otuliła kocykiem i kiedy pochyliła się, aby pocałować ją w czołko, nagle ciepłe rączki objęły ją mocno za szyję.

- Tak się cieszę, że tu jesteś!

- Ja też, kochanie - szepnęła wzruszona Lauren. - I jestem szczęśliwa, że mam ciebie.

Cody wrócił o szóstej, zmęczony, ale zadowolony. Z dwóch powodów. Stan chorego na astmę nie budził zastrzeżeń, a poza tym dyżur przejął Eli. Pager będzie więc milczał i może dziś wieczorem stanie się to, na co Cody czekał z taką niecierpliwością.

Był wściekły, że wczoraj wieczorem wezwano go właśnie w takim momencie. Nie miał wyboru. Świadomie wybrał



swój zawód, wiedział, jak wygląda praca lekarza rodzinnego. Gretchen nienawidziła samego dźwięku pagera, nie kryła złości, kiedy na przyjęciu Cody już po dwudziestu minutach musiał biec do szpitala.

W nocy Cody wrócił o drugiej. Był zmęczony, ale bardzo stęskniony za Lauren. Nie obudził jej, choć wiele go to kosztowało. Nie, ten pierwszy raz powinien być dla niej czymś szczególnym, a nie pospieszną miłością w środku nocy. Rano, kiedy biegł do szpitala, bał się ją pocałować. Czuł, że jeśli się do niej zbliży, takiej słodkiej, potarganej i rozgrzanej od snu, żadna siła nie zdoła go powstrzymać.

Wszedł do kuchni i od razu zauważył, że Lauren, w dżinsach i jasnym sweterku, wygląda uroczo.

- Cześć! Kolacja jest prawie gotowa. Sara zarządziła spaghetti.

Dziewczynka, odwrócona tyłem, siedziała przy stole i pilnie rysowała. Usłyszawszy ojca, zeskoczyła z krzesła i z dumą zademonstrowała zabandażowane rączki.

- Tatusiu, zobacz, co mam!

Pierwsza jego myśl była, że dziecko upadło, zadrapało sobie rączki i to jeszcze nie tragedia. Ale kiedy zobaczył zaczerwioną bródkę, poczuł, że ogarnia go gniew.

- Co się stało, kochanie?

Dziewczynka beztrąsko opowiedziała, że chciała pohnąć się na stojąco, jak duży chłopiec z parku. Cody zbladł. Wspomnienie o Gretchen, która wolała być filantropką a nie matką, było w nim zbyt silne.

- A gdzie była wtedy Lauren?

- Lauren rysowała.

Po prostu rysowała. Cody spojrzał na żonę.

- Tak, Cody, szkicowałam - powiedziała cicho.

Pracowała i nie uważała na Sarę. Czyżby znów się pomylił? Znów jego dziecko będzie zepchnięte na dalszy plan, a Lauren skoncentruje się na tym, co dla niej najważniejsze - na karierze? Muszą koniecznie to wyjaśnić. Nie teraz, takich rozmów nie prowadzi się przy dziecku.

Kolacja upłynęła raczej w minorowym nastroju, potem Lauren wzięła się za zmywanie, a Cody bawił się z Sarą w chowanego. Wreszcie wspólnie ułożyli małą do snu i zeszli na dół.

- Musimy porozmawiać, Lauren.

- Dobrze.

Był zły, bardzo zły, tym bardziej że kiedy patrzył na Lauren i w duchu stawiał jej tysiące zarzutów, nie potrafił jednocześnie jej nie pożądać. Przecież Gretchen też kiedyś pragnął, ale jego pożądanie znikło, kiedy zorientował się, że nie chce być mu bliska i nie zamierza być prawdziwą matką dla ich dziecka. Z Lauren było inaczej. Nawet teraz, choć był na siebie wściekły, patrząc na jej usta, przypominał sobie ich smak...

- Lauren, dlaczego nie pilnowałaś Sary?

- Pilnowałam. Owszem, szkicowałam, ale co chwilę patrzyłam na nią.

- A więc twoja uwaga była podzielona. Lauren, tak nie można. Co innego w domu. Na dworze trzeba jednak całkowicie skoncentrować się na dziecku. Kiedy odprowadzałem Sarę do Kim, takie rzeczy nigdy się nie zdarzały.

Zobaczył zdumienie w oczach Lauren. Czyżby bagatelizowała całą sprawę? Przecież wszystko mogło się zdarzyć, coś, na co nie pomogłaby woda utleniona i kawałek bandaża. A on jej zaufał, tak jak nigdy nie ufał Gretchen.

- Lauren, byłem pewien, że Sara przy tobie jest pod dobrą opieką.

- Nie gniewaj się, Cody. Tak, szkicowałam, ale przecież jednocześnie pilnowałam jej.

- Prawdopodobnie niewystarczająco.

W oczach Lauren pojawił się teraz wyraz wielkiego rozżalenia. Był na nią wściekły. I wściekły, że nie może jej wziąć w ramiona.

- Trudno, stało się - powiedział już spokojniejszym głosem. - Chciałbym jednak, żebyś mi przyrzekła, że Sara będzie ważniejsza niż twoja praca.

- Ależ, Cody, co mam ci przyrzekać? Przecież to jasne, że Sara jest ważniejsza niż moje rysunki.

- I dziś to udowodniłaś?

Zapadło milczenie. Milczenie, które budowało między nimi mur.

- Będę w gabinecie. Muszę jeszcze trochę popracować.

- Czy będziesz słyszeć Sarę?

- Zostawię drzwi otwarte.

Lauren wahała się przez moment.

- W takim razie pojedę do firmy po materiały - powiedziała zmienionym głosem. - Nie będę tam długo.

Mur był coraz wyższy, coraz bardziej namacalny. Pomyślał, że może to i lepiej, jeśli w małżeństwie zachowuje się dystans. Słyszał, jak Lauren wyprowadza wóz z garażu i ogarnęło go uczucie, jakiego przedtem nigdy nie doświadczał. Uczucie wielkiej pustki.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Lauren podjechała na parking przed centrum MacMillanów i zgasiła silnik. Siedziała nieruchomo, z rękami oparty-

mi o kierownicę. Po jej policzkach ściekały długo powstrzymane łzy. Pozwoliła im płynąć. Musiała się wypłakać, użalić się nad sobą, pomyśleć. Tak bardzo się starała, z nadzieją, że kiedyś staną się sobie naprawdę bliscy. Wydawało się, że zrobili już pierwszy krok, i nagle jedno przykre zdarzenie odgrodziło ich od siebie niewidzialnym murem. Była naiwna, kiedy sądziła, że jej uczucie będzie lekarstwem na wszystkie problemy. Czyżby Cody tak bardzo kochał Gretchen, że w jego sercu nigdy nie będzie już miejsca dla innej kobiety?

Tak, tak na pewno jest. Ze ściśniętym sercem wysiadła z samochodu. Otworzyła bramę, zamykaną na kłódkę, weszła do najbliższej cieplarni i wolnym krokiem zaczęła przechadzać się między rzędami kwiatów. Wdychała ich zapach, dotykała delikatnych płatków, sprawdzała, czy ziemia jest dostatecznie wilgotna. Jednak nawet ten różowy, pachnący świat cyklamenów nie potrafił oderwać jej od smutnych myśli.

Co ja takiego zrobiłam? Może rzeczywiście nie powinnam była ani na chwilę spuszczać Sary z oka? Czy tak właśnie postępuje prawdziwa matka? Przypomniała sobie swoje dzieciństwo, w którym nierzadko bywały siniaki i zadrapania. Przecież rodzice na pewno pilnowali i jej, i Roba, jednak dzieci często kolejny kawałek świata poznają na własną rękę. Jest to czasami bolesne, ale nieuniknione.

Zatopiona w rozmyślaniach nie zauważyła, kiedy do cieplarni wszedł Rob, do którego licznych funkcji należało również pilnowanie dobytku MacMillanów.

- A co pani tu robi? - huknął jej nad uchem.

Podskoczyła jak oparzona. Ujrawszy roześmianego brata, również spróbowała odpowiedzieć uśmiechem, jednak zupełnie jej się to nie udało i czujny brat natychmiast posta-

nowił wybadać sytuację. Teraz razem, ramię w ramię, przechadzali się wśród rzędów kwiatów.

- Przyszłam trochę pomyśleć. Mam problem.

- Zastanawiasz się nad swoim małżeństwem?

- Tak. Wiem, że ty od początku nie akceptowałaś mojego związku z Codym.

- Przede wszystkim nie podobał mi się ten pośpiech.

- Pośpiech? Ach, Rob - powiedziała zrezygnowanym głosem Lauren - to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż myślisz.

- Małżeństwo zawsze jest skomplikowane, nawet jeśli ludzie pobierają się z wielkiej miłości.

Lauren spojrzała na pachnący łąn kwiatów.

- Przecież ja go kocham - powiedziała cicho. - Kocham go całym sercem.

- Mówiąc szczerze, Lauren, dla mnie to ty kochałaś go zawsze, ale on tego nie docenia.

- Jesteś uprzedzony do Cody'ego.

- Może, ale przyznaj, czy nie mam trochę racji?

Na litość boską, przecież nie powie bratu, że ona do dziś nie wie, czy Cody w ogóle cokolwiek do niej czuje!

- Rob, dziś było takie nieprzyjemne zdarzenie. Nie dopilnowałam Sary i mała potłukła się. Na szczęście, nic groźnego, ale Cody ...

- Ma do ciebie pretensję, czy tak?

- Ma - odpowiedziała Lauren prawie szeptem.

- Lauren! Sama wiesz, że niczego nie rozwiążesz, wachając kwiatki. Musicie po prostu porozmawiać.

- Myślisz, że to coś pomoże? - spytała z nadzieją w głosie. Przecież Rob wie najlepiej, jest żonaty od sześciu lat. On i Kim stworzyli bardzo dobre stadło.

- Oczywiście! My z Kim jeszcze przed ślubem przyrzekliśmy sobie, że w naszym małżeństwie nie będzie niedomówień. Wieczorem, kiedy dzieciaki zasną, gadamy sobie. Naturalnie, że nie wszystkie problemy udaje nam się rozwiązać, ale przynajmniej wiemy, że coś jest nie tak i oboje chcemy to jakoś załatwić. Czasami sam fakt, że rozmawiamy, wystarczy, by rozładować sytuację.

No tak, pomyślała Lauren, ale Kim i Rob są normalnym małżeństwem. Jakże inaczej wygląda wspólne życie, gdy obie strony mają dla siebie nieprzebrany zapas czułości i zaufania...

- Lauren, jeśli chodzi o to zdarzenie z Sarą, nie powinnaś robić sobie wyrzutów. Przy naszym synku można warować dzień i noc, a on i tak, nie wiadomo kiedy, nabije sobie guza. Niestety, tak to już jest z dziećmi.

Słowa Roba natchnęły Lauren otuchą, przygnębienie znikło. Jak to cudowne mieć starszego brata!

- Rob, dzięki za poradę! - powiedziała wesoło. - Rachunek wyślij pocztą. A może wolisz, żebym pomogła ci popilnować?

- Nie trzeba! Twój brat jest najlepszym ochroniarzem w całym Birch Creek! - odpowiedział żartem na żart, zadowolony, że siostra już pogodniej patrzy na świat. - Rob MacMillan potrafi przypilnować i kwiatów, i siostry!

W drodze powrotnej Lauren jeszcze raz przemyślała słowa Roba i utwierdziła się w przekonaniu, że miał rację. Do domu wchodziła z mocnym postanowieniem, że musi z Coddym porozmawiać natychmiast. Stała pod drzwiami gabinetu, zapukała i kiedy otworzył, poczuła wyrzuty sumienia. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Lauren przypomniała sobie, że tej nocy spał zaledwie kilka godzin.

- Mogę wejść?

Bez słowa otworzył szerzej drzwi i odsunął się na bok, robiąc przejście.

- Chciałabym, żebyśmy jeszcze raz, na spokojnie, porozmawiali o tym, co się stało. Cody, ja też bardzo przeżyłam upadek Sary. Wiem, że nie powinnam spuszczać z niej oka.

- Tak, Lauren. Zrozum, muszę mieć pewność, że dziecko jest pod dobrą opieką.

- Naturalnie, Cody. Jednak czasami zdarza się coś, czego nie można przewidzieć. Nawet wtedy, kiedy dziecka nie spuszcza się z oka choćby na ułamek sekundy. Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać, ale - głos Lauren załamał się - ale na pewno starałam się.

- Lauren - powiedział Cody cichym, poważnym głosem - muszę przede wszystkim wiedzieć jedno. Czy ty... czy ty kiedyś będziesz mogła pokochać Sarę jak własne dziecko?

- Cody!

Zrozumiała, że ten mur między nimi to lęk o dziecko, odpowiedzialność, której nauczył się nie dzielić z nikim. Mur runie, jeśli ona choć część tego ciężaru przejmie na siebie. Boże drogi, przecież tego właśnie chciała! I wcale nie jakiejś tam cząstki!

- Ja już kocham Sarę - powiedziała drżącym głosem.  
- Jak własne dziecko. A ona wczoraj objęła mnie za szyję, tymi swoimi łapkami, jakby była moją córeczką! Cody, ja...

Nie dokończyła. Tonęła. Tonęła w jego uścisku i czuła, że ich serca nareszcie biją zgodnym rytmem. Nareszcie. Ręce Cody'ego przygarniały ją coraz mocniej.

- Chcę ciebie, Lauren. A ty?

Nie musiała mówić. Odpowiedź znalazł w półprzymkniętych oczach.

- Tu? Teraz, Lauren?

- Tak, tak, Cody.

Mała, skórzana kanapka przygarnęła ich. Kochali się krótko, gwałtownie. Zbyt krótko, aby mógł nauczyć Lauren, jak powoli poznawać się nawzajem i pragnąć coraz bardziej, jak w końcu wtopić się w siebie bez reszty.

To dlatego, spłoszona, doprowadziwszy ubranie do porządku, nie chciała na niego spojrzeć.

- Idę na górę. Zajrzę do Sary. Dobranoc, Cody!

- Dobranoc!

Przez chwilę słuchał oddalających się kroków, potem ciężko opadł na krzesło. Lauren, przecież to wcale tak nie miało być. Lauren, przebacz mi.

W sobotę po południu Lauren już dwukrotnie zbierała się do domu, jednak za każdym razem Rob wynajdywał jej jakąś robotę. Najpierw chciał, żeby pomogła ustawić małe stojaki koło kasy, potem koniecznie potrzebna mu była asysta podczas przyjmowania nowej dostawy. Puścił ją dopiero o piątej. Na szczęście Lauren nie musiała się spieszyć. Poprzedniego wieczoru ustalili z Codym, że w sobotę tata i córka wypuszczają się sami do miasta. Idą do kina i na lody.

Od pamiętnego wieczoru w gabinecie Cody zachowywał się nadzwyczaj powściągliwie. Lauren, choć skrzętnie to ukrywała, była zmartwiona. Była zdruzgotana. Bo teraz... teraz czuła, że należy do niego naprawdę. Jej serce, jej ciało, wszystko należało do Cody'ego. A on był chłodny i powściągliwy, jak angielski lord. Jak więc mu powiedzieć, że serce i ciało tak bardzo spragnione są jego czułości?

Podjeżdżając pod dom, zauważyła samochód męża. A więc już wrócili, trzeba ich będzie nakarmić. Układając w myśli menu, szybkim krokiem wmaszerowała do kuchni,



i w ostatniej chwili wyhamowała przed imponującym torsem w czerwonej koszuli.

- Cody! A gdzie Sara?

- Została na noc u Kim i Roba.

- Dlaczego? Będzie smutno bez niej.

- Otwórz, a dowiesz się, dlaczego - powiedział nieśmiałym głosem, wręczając jej kopertę.

Zaskoczona Lauren rozerwała kopertę i wyjęła dużą, białą kartkę, złożoną na pół, na której napisano wielkimi literami „Lauren”. Rozłożyła kartkę i przeczytała:

*Mam zaszczyt zaprosić cię na bal maturalny, który odbędzie się dziś wieczorem. Proszę, nie odmawiaj, to będzie najpiękniejsza noc w naszym życiu. Cody.*

- Ja... nie rozumiem - bąknęła.

- Zaraz zrozumiesz wszystko. Chodź, kochanie - powiedział uroczyście, biorąc ją pod ramię.

Kiedy weszli do salonu, Lauren oniemiała. Powitał ją wielki transparent z napisem: „Bal maturalny Lauren i Cody'ego”. Zobaczyła cztery wazony, w których pyszniły się olbrzymie bukiety z róż, gladioli i goździków. Wszystkie meble podsunęte były pod ścianę, stół nakryty białym obrusem. Z żyrandola zwisały serpentyny, a pod sufitem kołysały się dostojnie kolorowe balony wypełnione helem. Tak, to już nie był salon. To była sala balowa.

- Cody - szepnęła wzruszona. - Czy to jest nasz bal?

- Tak, nasz bal. I będziemy na nim razem. Lauren, tak chciałbym, żeby można było wykreślić te wszystkie lata, które nas dzieliły. To wszystko nie tak... I jeszcze ten wieczór w gabinecie. Przebac mi, zachowałem się jak dzikus.

- Nie, Cody, wcale nie. Ja myślałam, że się rozczarowałam.

- Jak możesz tak mówić! To ja, ja rzuciłem się na ciebie.
- Proszę, nie mówmy już o tym.
- Dobrze, Lauren. Ale dziś będzie wszystko inaczej.

Podszedł do kanapy i wyciągnął schowane za oparciem drugie, płaskie pudełko.

- Proszę, to dla ciebie.

Położyła pudełko na stole, zdjęła pokrywkę i ostrożnie, niemal z nabożeństwem, wyjęła piękną, blad różową sukienkę z szyfonu, na jedwabnym spodziku. Prosty krój, lecz równocześnie bardzo wyrafinowany.

- Kim pomogła mi ją wybrać - powiedział trochę niepewnym głosem. - Mówiła, że na pewno będzie ci się podobać.

- Cody, jest przepiękna! Nie wiem, jak ci dziękować...

- Więc nie dziękuj - uśmiechnął się i delikatnie położył palec na jej ustach. - Idź na górę i przebierz się. Muszę coś tu jeszcze przygotować. A o wpół do siódmej przyjdę po ciebie.

- Tak, o wpół do siódmej.

- Lauren, to będzie nasza randka. Nadrobimy stracony czas.

Tak też się czuła, jak przed prawdziwą randką, kiedy brała długą kąpiel, szcotokowała włosy i wreszcie włożyła blado różową suknię. Szykowała się na bal. Na bal, na który idzie razem z ukochanym. Punktualnie o wpół do siódmej usłyszała ciche pukanie do drzwi zachwycone spojrzenie Cody'ego powiedziało jej, że wygląda pięknie. Wzięła więc pod ramię swego mężczyznę, niezwykle przystojnego w eleganckim smokingu, i pozwoliła sprowadzić się na dół, do sali balowej, gdzie na stole, nakrytym białym obrusem, płonęły świece, a z głośników sączyła się cicha, nastrojowa muzyka.

- Mam nadzieję, że lubisz homary, kochanie.

- Uwielbiam.

Odsunął krzesło, pomógł jej usiąść, potem nachylił się i szepnął:

- Lauren, jesteś najpiękniejsza.

Wydawało jej się, że śni. Ta suknia, świece, homary. Wszystko dla niej. Tylko dla niej. Tak, na pewno pokochała człowieka wyjątkowego. A ten wyjątkowy człowiek? Czy kocha ją choć odrobinę?

Cody przeprosił i zniknął w kuchni. Wrócił za chwilę, a w rękach niósł talerze. Na talerzach homary, pieczone ziemniaki i zielony groszek.

Lauren wybuchnęła śmiechem.

- Nie powiesz, że to ty sam...

- Nie, to firma cateringowa - przyznał ze skruszoną miłą. - Kim podała mi adres.

Jedli powoli, wsłuchani w muzykę. Nie było słów, tylko spojrzenia, jedynie od czasu do czasu palce Cody'ego delikatnie głaskały jej dłoń. Kiedy talerze były puste, małżonek zakomunikował:

- Na deser będzie kawa i sernik. Może przedtem miała-byś ochotę zatańczyć?

- Bardzo chętnie.

I choć znów kołysali się w rytm starej, rzewnej melodii, ich taniec był zupełnie inny niż na weselu. Teraz, z dala od ludzkich spojrzeń, tańczyli spleceni w gorącym uścisku, jak kochankowie.

- Uwielbiam trzymać cię w ramionach - szepnął Cody.

- A ja uwielbiam być w twoich ramionach - odszepnęła.

Uniosła głowę. Pocałuj. Pochylił się, stęskniony. I zastygł.

W pierwszej chwili nie uwierzyli oboje. A jednak. Pager przemówił.

- Nie rozumiem, przecież dzisiaj nie mam dyżuru. Lauren, przepraszam, muszę zadzwonić.

Wróciła do stołu, usiadła i patrzyła, jak Cody dzwoni, jak jego twarz nagle robi się bardzo skupiona. Powiedział tylko jedno zdanie:

- Będę za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę.

- Wypadek. Zderzyły się trzy samochody. Jest dużo rannych. Proszę, żebym przyjechał. Lauren, wiem, że zepsułem ci wieczór...

- Nie, wcale nie zepsułeś - powiedziała poważnym tonem, patrząc mu prosto w oczy. - Jestem żoną lekarza i wiem, że tak musi być.

Cody nie po raz pierwszy pomyślał, że to przepiękne zjawisko jest aniołem. Na pewno, bo kiedy tulił ją w pożegnalnym uścisku, wymruczała mu jeszcze do ucha:

- Deser zjemy, kiedy wrócisz. Będę czekać, Cody.

Wpadł do izby przyjęć w chwili, kiedy przywożono już pierwszych rannych. Potem błyskawiczna narada z Elim i walka. Walka o ludzkie życie. Prawie stracili młodą dziewczynę, która pędząc sportowym samochodem, spowodowała katastrofę. Na szczęście, dzięki błyskawicznej interwencji, serce zaczęło znów pracować i ranną można było przekazać w ręce chirurgów. Trzy osoby były w ciężkim stanie, na szczęście obyło się bez wypadków śmiertelnych.

Do domu wyruszył przed północą. Jadąc cichymi, pustymi ulicami miasta, myślał o Lauren, która powiedziała, że będzie czekać. Nie, nie wierzył. Zbyt dobrze pamiętał reakcje Gretchen, jej narzekania i spojrzenia pełne wyrzutu. Tak, te oskarżycielskie spojrzenia doprowadzały go do szału, bo w rezultacie zaczynał czuć się winny. O wpół do pierwszej

wprowadził wóz do garażu. W całym domu panowała cisza. Przeszedł przez kuchnię, gasząc po drodze lampkę nad zlewem i na palcach, żeby nie obudzić Lauren, wszedł po schodach. Otworzył drzwi do sypialni i serce zabiło mu szybciej.

W ciepłym kręgu światła nocnej lampki zobaczył rozśmianą twarz żony. Czekala. Nie zdjęła nawet blad różowej sukienki. Siedziała na łóżku, oparta o rzeźbione wezglowie, a obok na stoliczku były dwa talerzyki z kawałkami ciasta.

- Czekalaś na mnie.

- Tak, czekałam. O dwunastej zadzwoniłam do szpitala, powiedzieli, że jedziesz już do domu. Czy masz jeszcze trochę siły, żeby zjeść ze mną ciasteczko?

- Mam apetyt na coś innego - rzucił, już w drzwiach łazienki. Jeszcze nigdy nie brał prysznicza w tak błyskawicznym tempie. A kiedy stanął w drzwiach, zobaczył w brązowych oczach tysiąc tęsknot i tysiąc obietnic. I kiedy obejmował ją wilgotnymi jeszcze ramionami, wiedzieli, że czeka ich długa noc, pełna uniesień, szeptów i zaklęć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

We wtorkowe popołudnie Lauren krzątała się po kuchni, rozmyślając o tych sześciu tygodniach, które upłynęły od pamiętnego balu. Myślała o tamtej nocy, o tym, że jej okres się spóźnia i że jutro, podczas spaceru z Sarą, będzie musiała odebrać wyniki testu ciążowego.

Minione sześć tygodni to był dobry czas. Wydawało się, że wszystko się ułożyło. Lauren, coraz bardziej czując się u siebie, starała się zmienić surowy dom Cody'ego. Przed wszystkim kupiła wesołe, kolorowe zasłony na okno do po-

koju Sary, również na parterze zaczęły pojawiać się miłe, kolorowe drobiazgi. W ogrodzie za domem, ku wielkiej radości Sary, gotowe już było oczko wodne. Powiodło się także w życiu zawodowym. Projekt ogrodu wokół biurowca w Denver został przyjęty do realizacji. W dniu, w którym otrzymała radosną wiadomość, Cody wrócił do domu z butelką szampana i uroczysty wieczór trwał niemalże do białego rana. Zdawałoby się, że Lauren jest kobietą szczęśliwą i spełnioną. A jednak odczuwała niedosyt. Mimo przykładnego życia rodzinnego i namiętnych nocy, nie mogła pozbyć się wrażenia, że Cody nie otworzył się przed nią do końca. Martwiło ją to, szczególnie teraz, kiedy, być może, wkrótce będzie mogła oznajmić mu dobrą nowinę.

Zatopiona w myślach nie zauważyła skradającego się mężczyzny, który zniemacka złapał ją za kibić. Pisnęła ze strachu jak mała dziewczynka. Na szczęście, straszny napastnik pachniał dobrze znaną wodą po goleniu.

- Cody! Jak mogłeś mnie tak przestraszyć!

- Trudno! Jeśli ktoś zapomina o bożym świecie! - mruknął, zajęty całowaniem aksamitnego karczka żony. - Czyżbyś znowu obmyślała jakiś tajemniczy ogród?

Natychmiast straciła zainteresowanie sosem do sałatki. Wywinęła się z objęć męża i spojrzała na niego z powagą.

- Nie, Cody, to nie ogród. Myślałam o nas.

- A wiesz, że ja też. Kiedy okazało się, że mam wolną godzinę, natychmiast przyfrunąłem do ciebie. Z cichą nadzieją, że Sara ucina sobie właśnie drzemkę.

Wyraz oczu doktora Grangera zdradzał jednoznacznie, w jaki sposób zamierza wypełnić sobie przerwę w pracy.

- Tak, mała śpi, a ja postanowiłam wcześniej przygotować kolację. Chcesz mi pomóc? - spytała Lauren niewinnym głosem.

- Myślę o czymś bardziej ekscytującym niż sałatka - szepnął uwodzicielsko, rozpinając pierwszy guziczek jej bluzki.

Na dźwięk telefonu bez komentarza podszedł do kredensu, na którym stał aparat. Przyzwyczajali się, że telefon odzywa się nader często w momentach najmniej stosownych. Reagowali na to ze stoickim spokojem, tym bardziej że przecież po powrocie Cody'ego zawsze można dokończyć miłe zajęcie... Tym razem jednak na pewno nie było to wezwanie do chorego. Twarz Cody'ego, kiedy słuchał swego rozmówcy, zmieniła się, nie był to jednak dobrze jej znany wyraz skupienia i powagi.

- Tak, Frank, naturalnie, że przyjedziemy. O której godzinie zaczyna się uroczystość?

Kilka uprzejmych słów, krótkie pożegnanie i Cody odłożył słuchawkę. Nie odwrócił się. Stał nieruchomo, wpatrując się w ścianę.

- Cody, kto dzwonił? - spytała Lauren, doprowadzając do porządku bluzkę.

- Słucham? Ach, tak - spojrzał na nią, jakby wyrwany ze snu. - Dzwonił Frank Hollis, prezes rady nadzorczej szpitala w Colorado Springs. W niedzielę jest uroczyste otwarcie nowego skrzydła. Chcą mi wręczyć nagrodę pamiątkową dla Gretchen, wiesz, że ona była w to bardzo zaangażowana.

- Zdaje się, że w ten weekend masz dyżur.

- Tak. Będę musiał poprosić Eliego, żeby mnie zastąpił.

Lauren zastanowiła się chwilę, potem, z wyraźnym ociąganiem, jakby do końca nie była pewna, czy powinna zadać to pytanie, spytała cichym głosem:

- Cody, czy ty... czy ty chcesz, żebyśmy pojechała z tobą?

- Ty? - zawahał się przez moment. - Dlaczego nie? Oczywiście, że chcę.

Zapadła cisza. Lauren nie zadawała dalszych pytań. Patrząc na posępną twarz męża, była przekonana, że myśli o Gretchen. A więc powrócił do tamtych lat, do których ona, Lauren, nie miała wstępu.

- Pojadę już - powiedział Cody, spoglądając na zegarek.

- Tak, jedź.

Nie zatrzymała go, choć czas wcale nie naglił. Patrzyła, jak wolnym, dziwnie zmęczonym krokiem podchodzi do samochodu i zastanawiała się, czy ta zażyłość, jaka wytworzyła się między nimi w ciągu ubiegłych tygodni, wytrzyma starcie z przeszłością. Czy nie okaże się złudzeniem.

Lauren, napełniwszy herbatą filiżankę Sary, z ciekawością rozejrzała się po sali. Była wypełniona po brzegi. Pani de Witt zajmowała miejsce w jednym z pierwszych rzędów. Obok siedziała Sara, dwa dalsze miejsca były puste. Dziewczynka, machając wesoło nóżkami, pogryzała ciasteczko i jednocześnie z wielkim przejęciem opowiadała coś babci. Ta słuchała z wielką uwagą i Lauren nie po raz pierwszy pomyślała, że Dolores po prostu bardzo kocha wnuczkę. W rogu sali Lauren zauważyła Cody'ego, zajętego rozmową z brodatym panem w ciemnym garniturze.

Cody, po telefonie z wiadomością o uroczystości, nie odzyskał humoru. Chodził zamyślony, z ponurą miną, i Lauren, przekonana, że odżył w nim ból po stracie pierwszej żony, z niepokojem myślała, jak ułoży się ich wspólne życie. Właśnie teraz, kiedy tak bardzo go potrzebowała. Wynik testu ciążowego był, co prawda, negatywny, ale okres nadal się spóźniał i Lauren, w tajemnicy przed Codym, zapisała się na wizytę u Eliego. Specjalnie poprosiła o wyznaczenie terminu



w godzinach porannych, kiedy Cody ma obchód w szpitalu. Tak bardzo pragnęła tego dziecka. Dla siebie. I dla swojego małżeństwa.

Napoiwszy małą, Lauren zajęła swoje miejsce. Wkrótce dołączył do niej Cody.

- Mam nadzieję, że to długo nie potrwa - powiedział półgłosem, sadowiąc się obok Lauren. - Boję się, że Sara zacznie rozrabiać.

- Wytrzyma - uśmiechnęła się Lauren, głaszcząc dziecko po główce. - W razie czego wymkniemy się po cichutku i pójdziemy na spacer, prawda, skarbie?

Dziewczynka, z buzią wypełnioną kolejnym ciasteczką, skwapliwie pokiwała główką.

- Rozumiecie się bez słów - zażartował Cody. Jego oczy były jednak niewesołe i Lauren była pewna, że Cody, widząc jak Sara łągnie do niej, czuje żal, że Gretchen nie może już cieszyć się swoim dzieckiem. Tak, i na ten temat powinni również szczerze porozmawiać.

Kiedy do mikrofonu podszedł pan Hollis, w sali zapadła cisza. Prezes serdecznie powitał zebranych i w krótkich słowach podkreślił znaczenie nowej inwestycji dla wszystkich mieszkańców Birch Creek. Następnie ordynator nowego oddziału opisał najnowocześniejszą aparaturę medyczną, którą udało się zakupić i dzięki której będzie można uratować wiele istnień ludzkich. Kiedy skończył, miejsce przy mikrofonie zajął ponownie pan Hollis.

- Proszę państwa! A teraz nadszedł szczególny moment naszej uroczystości. Jak wspominaliśmy, budowa nowego skrzydła i jego wyposażenie były przedsięwzięciem bardzo kosztownym. Udało nam się jednak zgromadzić potrzebne środki finansowe i zrealizować cały projekt w rekordowym czasie. Zawdzięczamy to przede wszystkim nieodżałowanej

pani Gretchen Granger, której nadzwyczajne zaangażowanie we wspólną sprawę zdecydowało o naszym sukcesie. Panie doktorze, czy mogę prosić?

Cody wstał i stanął obok pana Hollisa, który podniósł teraz do góry małą mosiężną tablicę.

- Proszę państwa! Pani Granger nie ma już wśród nas, ale my nigdy nie zapomnimy o jej zasługach. Oto tablica ku pamięci pani Granger, ufundowana przez szpital, którą chciałbym wręczyć jej małżonkowi, doktorowi Grangerowi, jako wyraz naszej ogromnej wdzięczności i szacunku dla pani Granger za to, co uczyniła dla naszej placówki. Jednocześnie chciałbym przekazać państwu wiadomość, że tablica podobnej treści zawiśnie w holu nowego oddziału.

Cody odebrał tablicę. Tak, zasługi Gretchen były niepodważalne, ale Bóg jeden wiedział, jak trudno mu było dziękować za uznanie dla tych zasług. W krótkich słowach wyraził swoją wdzięczność i zajął miejsce obok żony. Nie odezwał się słowem. Nigdy dotąd nie wydawał się Lauren bardziej obcy.

Wkrótce uroczystość dobiegła końca i pan Hollis zaprosił wszystkich zebranych do obejrzenia nowego oddziału. Goście powstali z miejsc. Sporo osób podchodziło do Dolores i Cody'ego, aby wyrazić żal z powodu przedwczesnej śmierci Gretchen i szacunek dla jej zasług. Twarz Cody'ego tężała coraz bardziej. Kiedy już ostatnia osoba uściśniła im dłoń, Dolores cichym głosem poprosiła Cody'ego:

- Czy mogłabym obejrzeć tę tablicę?

Uważnie przestudiowała widniejący tam napis i w jej oczach pojawiły się łzy.

- Na pewno powiesz ją w pokoju Sary, prawda?

- Raczej nie - odrzekł Cody nieswoim głosem. - Będzie leżała w szufladzie, gdzie przechowuję rzeczy po Gretchen.

- Dlaczego? - zaprotestowała Dolores. - Przecież dziecko powinno pamiętać, jaką miało wspaniałą matkę! Taka rzecz nie powinna poniewierać się w jakiejś szufladzie.

- To nie jest jakaś tam szuflada, lecz miejsce, gdzie przechowywane są rzeczy po Gretchen i Sara w każdej chwili może tam zajrzeć.

Rozmowa stawała się coraz bardziej przykra. Na szczęście mała, znudzona sprawami dorosłych, zsunęła się z krzesła i podskoczyła do ojca.

- Tatusiu, chcę do domu!

- Tak, skarbie, już jedziemy - obiecał, chwytając ją na rękę.

- Jak to? - Pani de Witt znów była niepokieszona. - Już jedziecie? Nie obejrzyjecie nowego oddziału?

- Byliśmy tam przed uroczystością - wyjaśnił Cody. - Teraz musimy jechać, Sara jest zmęczona.

- Znów się wymigujesz, Cody! Wypadałoby, żebyście poszli teraz ze wszystkimi.

- Bardzo mi przykro, Dolores, naprawdę musimy już jechać.

Jechali w milczeniu. Cody, skupiony nad kierownicą, i Lauren, tocząca ze sobą walkę, czy to milczenie przerwać. W końcu zdecydowała się.

- Odebranie tej nagrody na pewno było dla ciebie wielkim przeżyciem.

- Tak - odpowiedział sucho. - Gretchen rzeczywiście bardzo się zasłużyła.

- Czy zbierała datki tylko na szpital?

- Nie tylko. Włączała się do różnych akcji, na rzecz chorych na nowotwory, cukrzycę, zanik mięśni. Do różnych.

- Czyli uzupełnialiście się nawzajem.

Nie odezwał się ani słowem i nagle Lauren uzmysłowiła sobie, że Cody wcale nie chce, żeby ktokolwiek przypominał mu, jaką znakomitą parą byli on i Gretchen.

Po przyjeździe przygotowała naprędce coś do zjedzenia, potem Sara poszła spać, a Cody oznajmił, że musi trochę popracować i będzie w gabinecie. Lauren zrozumiała, że chce być sam, i jeśli teraz ona zacznie pytać i drażnić, wówczas oddali się od niej jeszcze bardziej. Teraz, kiedy, być może, jest w ciąży. Ta myśl przeraziła ją, ale jednocześnie dała nadzieję.

Włączony komputer czekał na dalsze polecenia. Cody przez chwilę wpatrywał się w monitor, potem, jakby nagle stracił całe zainteresowanie wykonywaną pracą, odsunął się z krzesłem od biurka i spojrzął w okno. Tak, dzisiejsza uroczystość była przeżyciem. Czuł się podle, jakby okłamywał wszystkich. Jego żona tyle zrobiła dla miasta. A dla dziecka? Znów sobie przypomniał ich kłótnie, swoje prośby, potem błagania. Gniewne słowa zabiły jego miłość. Uczucie, którym kiedyś darzył Gretchen, przerodziło się w obsesyjny lęk o dziecko. I świadomość własnej niemocy. Wreszcie zaczął się obwiniać, że nie potrafił niczego naprawić, a teraz czuł się rozdarty, kiedy Sara pytała go o matkę.

Co ma powiedzieć córeczce? Że jej piękna, elegancka matka, filar wszystkich akcji dobroczynnych w mieście, nie miała serca dla własnego dziecka? Owszem, czasami zajmowała się Sarą. Z rzadka, gdy nikogo innego nie było pod ręką. Obrażona, z łaski, nie okazując dziecku ani odrobiny czułości. Te żarciki, że może się polubią, kiedy Sara dorośnie!

Błagał ją, żeby poszła do psychologa, a ona w nieskończoność przesuwiała termin wizyty. Tak, kiedy ją poznał, był zbyt młody i zbyt niedoświadczony, żeby dostrzec, jaka naprawdę jest ta urodziwa dziewczyna.

A teraz? Teraz ma przy sobie Lauren. W ciągu ostatnich tygodni jego życie zmieniło się diametralnie. Miał przy sobie oddaną osobę, prawdziwego przyjaciela. Na dodatek ten przyjaciel był śliczną kobietą, której pożądał. Bał się tego pożądanego, bał się, że zacznie nim rządzić. A on, Cody Granger, bardzo nie lubi, gdy nie jest panem siebie.

Wrócił do komputera. Wszedł do Internetu i odszukał katalog biblioteki medycznej. Książki. Znów oczami wyobraźni zobaczył Lauren, pochyloną z Sarą nad książeczką. Lauren. Wystarczyło, żeby się uśmiechnęła, dotknęła go niechcący, a on już siłą powstrzymywał się, żeby nie wziąć jej w ramiona. Nie, tak nie może być. Skasował w mózgu hasło „Lauren” i skupił się na dziełach medycznych. W tym małżeństwie będzie inaczej. Wyzначył sobie granice i będzie pilnować, żeby ich nie przekroczyć.

We wtorek rano do telefonu biegła Lauren. Kiedy usłyszała głos doktora Hastingsa, wstrzymała oddech.

- Niestety, nie, Lauren - powiedział od razu, wiedząc, z jaką niecierpliwością czekała na jego telefon.

W jej głosie zabrzmiała prawdziwa rozpacz.

- Dlaczego, panie doktorze? Przecież wszystko wskazuje na to, że...

- Dlatego zleciłem dodatkowe badanie krwi. Teraz nie ma już najmniejszych wątpliwości. Przykro mi, Lauren, nie jesteś w ciąży. Takie zaburzenia w cyklu mogą się zdarzyć z zupełnie innych powodów. U ciebie najprawdopodobniej przyczyną są zasadnicze zmiany, jakie zaszły w twoim życiu.

Wyszłaś za mąż, matkujesz Sarze. W życiu kobiety to prawdziwa rewolucja!

- A ja miałam taką nadzieję!

- Lauren, bądź cierpliwa. Przecież jesteście małżeństwem dopiero od dwóch miesięcy! Głowa do góry, będziecie jeszcze mieli to swoje stadko. A wtedy, nie zapominaj, że rozmawiasz właśnie z przyszywanym dziadkiem, który ma zamiar rozpieszczać je do niemożliwości.

- Dziękuję, panie doktorze. Pan jest cudowny.

Lauren odłożyła słuchawkę i czuła, że zaraz się rozplacze. Niczego bardziej na świecie nie pragnęła, niż tego maleństwa, które miało być furtką do serca męża. Jednak serdeczne słowa doktora Hastingsa zadziałały. Pomyślała, że płacz nic tu nie pomoże i rzeczywiście trzeba być cierpliwą. Otarła tę jedną łzę, która wymknęła się spod powieki i zdecydowała, że zaraz upiecze tort. Czekoladowy, taki, jaki Cody lubi najbardziej. Będą sobie jedli ten tort, następnie razem położą Sarę do łóżeczka, potem Cody będzie się przymilał, że z chęcią zjadłby jeszcze kawałek. Tak, życie jest piękne, tylko trzeba mieć trochę cierpliwości.

O piątej, kiedy razem z Sarą urzędowały w kuchni, zadzwonił Cody i uprzedził, że ma tłum pacjentów i wróci później.

- Dobrze - odrzekła, jak zwykle, Lauren. - Będę na ciebie czekać.

Po kolacji zabrała Sarę do parku i były tam aż do zmierzchu. Potem wracały sobie do domu, powolutku, trzymając się za ręce, i Lauren pomyślała, jak Cody mógł w ogóle wątpić, czy ona pokocha Sarę. Ta mała, słodka dziewczynka już była jej córeczką. Gdyby jeszcze Sara mogła mieć rodzeństwo...

Kiedy dziewczynka myślała zębki, Lauren przypomniała sobie o czystej bieliźnie, która na pewno już wyschła w suszar-

ni. Zbiegła szybko na dół, po kilku minutach była już z powrotem. Zniosła kosz z bielizną do sypialni i zajrzała do łazienki. Sary nie było. Pokój dziecinny również był pusty. Przestraszona, zaczęła głośno wołać:

- Saro, gdzie jesteś?

- Tutaj! - odpowiedział przytłumiony głosik.

Odnalazła Sarę w pokoju gościnnym. Dziewczynka siedziała na dywanie, przed wielką komodą. Dolna szuflada była wysunięta.

- Tu są rzeczy mamusi - wyjaśniła. - Chodź, pokażę ci.

Pokusa była zbyt wielka. Lauren przykucnęła obok dziewczynki.

- Tatuś powiedział, że zawsze mogę tu sobie przyjść i popatrzeć - powiedziała Sara z powagą, wyciągając z szuflady błękitną wstęgę.

- Wiesz, co to jest? - spytała Lauren.

Dziewczynka potrząsnęła przecząco główką. Czyżby Cody nie siadywał tu razem z dzieckiem, żeby powspominać? Lauren opowiedziała Sarze, co to są zawody jeździeckie i że jej mama świetnie musiała jeździć konno, skoro dostała taką nagrodę. Potem dziewczynka poszperała znów w szufladzie i wyjęła fotografię Gretchen z czasów szkolnych, w stroju cheerleaderki. Lauren poczuła ukłucie w sercu.

- Znałam twoją mamusię.

- Naprawdę?!

Niebieskie oczy Sary ze zdziwienia zrobiły się prawie okrągłe.

- Chodziłyśmy do tej samej szkoły, do której zresztą chodził także twój tatuś. A twoja mama była najlepszą cheerleaderką w szkole.

- A co to jest, ta... cheerleaderka?

- Duża dziewczynka, ubrana tak, jak twoja mama na tym zdjęciu, która tańczy podczas przerwy w meczu. Wiesz co? Pójdziemy kiedyś na prawdziwy mecz i wtedy sama zobaczysz, co robią cheerleaderki.

Siedziały na dywanie, oglądając jedną rzecz po drugiej i każda z nich świadczyła o tym, jak piękna była Gretchen i jak doskonała. Czy Cody o tym pamięta, kiedy trzyma w ramionach swoją nową żonę? Czy wciąż porównuje? Czy ona, Lauren, ma tylko zapłacić pustkę, którą pozostawiła w jego sercu tamta piękna, idealna kobieta?

- Ojej, jak już późno! - zreflektowała się Lauren, spoglądając na zegarek. - Biegniemy do łóżeczka. Później tu posprzątam.

Kiedy Lauren skończyła wieczorne czytanie i ucałowała Sarę na dobranoc, dziewczynka nagle przypomniała sobie o ojcu.

- A kiedy wróci tatuś?

- Już niedługo. Zajrzy do ciebie i chociaż będziesz już grzecznie spała, pocałuje cię w czołko.

- Dobrze. Ale teraz pocałuj mnie ty, za tatusia!

Wyściskały się jeszcze raz, potem jeszcze raz, i jak zwykle bardzo trudno było im się rozstać. Po wyjściu z pokoju Sary Lauren przypomniała sobie o rzeczach Gretchen i od razu poszła do pokoju gościnnego. Pokusa znów okazała się silniejsza od niej. Usiadła na dywanie, brała każdą rzecz do ręki, oglądała i dopiero potem odkładała na miejsce. Była tym tak pochłonięta, że nie zauważyła, kiedy w drzwiach stanął Cody.

- A ty, co tutaj robisz? - spytał wyraźnie podirytowanym tonem.

- Ja... sprzątam - odpowiedziała speszona, szybko wstając z podłogi. - Sara oglądała rzeczy po matce, zrobiło się późno, więc położyłam ją spać i wróciłam, żeby powkladać



wszystko na miejsce. Powiedziałam Sarze, że znałam jej matkę. Prosiła, żeby o niej opowiedzieć.

- I co jej naopowiadałaś? - burknął.

- Cody! Przestań! Powiedziałam to, co należało. Że Gretchen była bardzo ładna i potrafiła wiele rzeczy. Cody, mnie się wydaje, że ty rzadko rozmawiasz z Sarą o jej matce.

- Zawsze, kiedy mnie tylko o nią zapyta - odpowiedział szorstko.

Tak, kiedyś Cody już o tym wspominał. Lecz teraz, kiedy stali nad szufladą, pełną rzeczy, stanowiących dowód na istnienie Gretchen, Lauren pomyślała, że może to jest właściwe miejsce i czas, aby porozmawiać o jego pierwszej żonie.

- Cody, czy to wszystko, co zostało po niej?

- Nie - odpowiedział, zajęty rozwiązywaniem krawata.

- Jest jeszcze biżuteria, ale przechowuję ją w sejfie.

- A czy masz jeszcze wasze ślubne obrączki?

Ręka Cody'ego znieruchomiała. Jego oczy zrobiły się bardzo czujne.

- Co ty właściwie chcesz wiedzieć, Lauren?

Podstawową rzeczą w małżeństwie jest wzajemna szczerłość. To Lauren wiedziała. Wiedziała też, że w ich małżeństwie, tak bardzo różniącym się od innych, oprócz szczerości, musiała być nadzieja. Nadzieja, że on pokocha ją, swoją żonę.

- Chcę wiedzieć - powiedziała spokojnym, dźwięcznym głosem, choć serce waliło jej jak młotem - czy ty nadal kochasz Gretchen?

Nie spodziewał się tego pytania. W jego oczach najpierw pojawiło się zdumienie, a potem złość. I smutek.

- Kochać? Chodzi ci o tak zwaną miłość, tak? - powiedział szorstko. - Niestety, w tej materii niewiele mam do powiedzenia.

- Jak to? - wyjąkała zdumiona Lauren. - Przecież widzę, jaki jesteś przygnębiony, kiedy ktoś wspomni o Gretchen. Myślę, że bardzo ją kochałeś.

Na jej oczach twarz Cody'ego przeszła metamorfozę. Nie była już zła i odpychająca. Teraz była to twarz otwarta, z której można było wyczytać każdą emocję.

- Dobrze, powiem ci. Owszem, kochałem, bardzo dawno, kiedy byłem młody i naiwny. Chciałem koniecznie ją zdobyć. Dlatego zakuwałem i w college'u, i potem, na studiach. Spotykaliśmy się raz w miesiącu. Żyłem tymi spotkaniami, miałem nadzieję, że ona też. Ale teraz... teraz nie jestem tego taki pewny.

- Nie rozumiem - wyszeptała przestraszona Lauren, widząc, jak ręce Cody'ego zwijają się w pięści.

- Bo potem prawda wyszła na jaw! - wybuchnął. - Ona po prostu chciała być panią doktorową! Mieć pozycję, odpowiedni poziom życia! Nic poza tym. Niestety, nie przewidziała pewnych niedogodności. Że lekarz pracuje dzień i noc, i w każdej chwili może być wezwany do chorego. Nienawidziła tego. Jednak najgorszą niedogodnością było dla niej bycie matką. Żona, owszem, ale matka - nigdy!

Ostatnie zdanie wydało się Lauren czymś niepojętym.

- Nie chciała mieć dziecka?

- A po co? Cięża deformuje figurę, poza tym przy dziecku trzeba siedzieć. Skończyło się na tym, że to ja niańczyłem małą, a kiedy szedłem do pracy, zastępowała mnie głównie Dolores.

Spojrzał na żonę oczami, w których smutek był już silniejszy od gniewu.

- Tak było, Lauren. Oczywiście, że zależało mi na tym małżeństwie, ale nic, nic mi się nie udało. Nie potrafiłem jej przekonać, żeby pokochała nasze dziecko, oraz abym ja,

jej mąż, i moje uczucia, stały się ważniejsze niż ta cała jej działalność.

- Cody, czyli ty... ty nie byłeś z nią szczęśliwy?

- Szczęśliwy?!

Prawie krzyknął. Lauren jeszcze nigdy nie widziała u niego tak gwałtownej reakcji.

- Jak mogłem być szczęśliwy, kiedy z każdym dniem było coraz gorzej, a ja, cokolwiek bym nie zrobił, i tak niczego nie potrafiłem zmienić? O nie, Lauren, wcale nie byłem szczęśliwy! I kiedy Gretchen umarła, przysiągłem sobie na wszystkie świętości, że nigdy już, przenigdy, nie będzie mi tak zależeć na drugim człowieku. Będę żył tylko dla Sary.

Tylko dla Sary? A ona, Lauren?

Czuła, że brakuje jej tchu. Przez tyle tygodni żyła nadzieją, że pewnego dnia Cody obdarzy ją swoją miłością. Teraz dowiedziała się, że nie zdarzy to się nigdy.

Ponieważ on sam sobie zabronił kochać.

- Mówiłeś, że słowa przysięgi coś dla ciebie znaczą.

- Oczywiście! Dlatego nie rozwiodłem się z Gretchen.

Poza tym wciąż łudziłem się, że ona po terapii zmieni się, po prostu nauczy się, jak być matką.

Poczuła gorycz. Dlaczego mówi wciąż o tamtym małżeństwie? Czy ten czas, który jest teraz, nie liczy się?

- Cody - szepnęła - przecież mi też przysięgałeś.

Spojrzał na nią szybko, nerwowo przeczesał włosy ręką.

- Tak, przysięgałem i będę ci wierny, będę się tobą opiekował, tak jak obiecałem.

Wcale nie chciała, żeby się nią opiekował, tylko by ją pokochał.

- Cody, pobraliśmy się dla dobra dziecka. Jestem tego w pełni świadoma. Ale przecież to ma być małżeństwo. Związek, w którym ludzie są ze sobą najbliżej i... dają

sobie wszystko. Mówisz o wierności, opiece... Ale w małżeństwie ludzie dają sobie również serce. Ja też ci składałam przysięgę, z nadzieją, że nasze małżeństwo właśnie takie będzie.

- Bzdura - przerwał szorstko. - Tylko w książkach ludzie żyją długo i szczęśliwie.

- Nieprawda! A moi rodzice? A Kim i Rob? Nie zaznałeś miłości w pierwszym małżeństwie, ale to wcale nie oznacza, że miłość nie istnieje!

Zapadła cisza. Tak samo gorzka, tak samo prawdziwa, jak słowa Lauren.

- Chcesz się wycofać? - zapytał cicho.

Jak mogła chcieć, skoro go kochała? Ale - czy może zostać, skoro on nie chce dać jej swej miłości?

- Nie chcesz mi dać tego, co w małżeństwie jest najważniejsze, Cody.

Miała rozpaczliwą nadzieję, że zaprzeczy. Powie, że potrzebuje jeszcze trochę czasu. Lecz on milczał. Nie potrafił przebić się przez skorupę ostrożności, którą otoczył swoje serce. Nie potrafił jej rozbić, nawet dla niej, swojej żony. Pomyślała, że kocha go już od dawna, ale teraz już jest zupełnie inną osobą. Nie ma szesnastu lat. Teraz ma swoją dumę i nie pozwoli, żeby widział, jak znów ją zranił.

- Nie powinniśmy brać ślubu tylko ze względu na dziecko. Małżeństwo powinno opierać się jeszcze na czymś innym. Przynajmniej małżeństwo, jakiego ja pragnę.

- Chcesz odejść?

- Cody, ja przede wszystkim chcę, żeby z człowiekiem, z którym się związałam, łączyło mnie takie samo oddanie i przywiązanie, takie samo... uczucie, jakie łączy moich rodziców. Więc, której nic nie zdoła przerwać.

- Czyli chcesz rzeczy niemożliwej.

- Skoro ty tak uważasz, to rzeczywiście lepiej, żebym odeszła. Sądzę, że ze względu na Sarę powinnam to zrobić jak najszybciej.

- Masz rację. Ze względu na dziecko tak będzie najlepiej.

Ostatnia iskierka nadziei, która tliła się jeszcze na dnie serca Lauren, zgasła. Musi odejść. Przecież ich małżeństwo było właściwie fikcją. Ten wspólny czas pozornego szczęścia nie miał żadnego znaczenia. Nie może zmusić Cody'ego, aby zapragnął tego, czego sam nie chce pragnąć.

- Zapakuję walizkę i pójde spojrzeć na Sarę - powiedziała zgaszonym głosem. - Resztę rzeczy odeślij, proszę, do moich rodziców. Zatrzymam się u nich, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś mieszkania.

Poszła do sypialni, spakowała do walizki najpotrzebniejsze rzeczy i wyszła na korytarz. Pod drzwiami do dzieciennego pokoju postawiła walizkę na podłodze i ostrożnie nacisnęła klamkę. Podeszła do śpiącego dziecka, nachyliła się nad ciemną główką i cichutko wyszeptwała słowa pożegnania. Żegnała dziewczynkę, o której myślała, że już jest jej córką.

Gdy schodziła na dół, nie mogła dłużej powstrzymać łez. Kiedy siadła za kierownicą, płacz zmienił się w szloch.

Cody stał nieruchomo w oknie i patrzył, jak Lauren opuszcza jego dom. Nie odczuwał nic. Potem poszedł do pokoju Sary i długo przyglądał się śpiącemu dziecku. Rozejrzał się dookoła i zobaczył kolorowe zasłony. Na ścianie kilka rysunków małej, oprawionych w ramki. W rogu pokoju zakolysał się aniołek. Kapa, złożona w kostkę w nogach łóżka, miała kolorowe aplikacje. Kotki i laleczki. To wszystko zrobiła Lauren. Zszedł na dół. Tu też wszędzie było znać jej rękę. Na błyszczącym blacie stołu stał wazon z kwiatami z jedwabiu. Kanapa zarzucona była miękkimi poduszkami. Przed

drzwiami do kuchni leżał dywanik. Na półce, obok książek, w glinianym dzbanku bukiet z suszonych kwiatów. Wszystko, czego dotknęła Lauren, nabierało barw i ciepła.

Nie ma już Lauren.

W kuchni na stole czekał jego ulubiony czekoladowy tort. Spojrzał w okno, na księżyc. W dole zasrebrzyło się. Błyszcząca tafla wody, ukryta w gąszczu starannie dobranych roślin. Oczko wodne, które wymyśliła Lauren. Z krzesłem w ręku wyszedł na dwór. Mijały godziny, a on siedział nieruchomo, wpatrzony w srebrzyste, maleńkie jezioro. Jak ogłuszony. Jakby jego życie stanęło w miejscu.

Położył się w środku nocy. Sen nie nadszedł, za to nadeszły godziny pełne oskarżeń. Po raz pierwszy od dwóch lat zdał sobie sprawę ze swoich uczuć, z błędów, jakie popełnił. A rano usłyszał pełne żalu pytania Sary. Gdzie jest Lauren? Dlaczego poszła? Ja chcę do Lauren. Bał się powiedzieć prawdę. Powiedział, że Lauren musiała wyjechać. I wróci.

Na pewno wróci. Na szczęście przedpołudnie miał wolne, wizyty miał po południu. Zadzwoił do sekretarki i poprosił, aby lżejsze przypadki przełożyła na inny dzień. Potem zadzwonił do pani de Witt.

- Dolores, chciałem cię przeprosić.

Nie odezwała się, więc mówił dalej. To, co zrozumiał podczas bezsennej nocy.

- Byłem zły na Gretchen, bo nie była taką matką, jaką być powinna. Nie wolno mi jednak tego gniewu przenosić na ciebie.

Dopiero po chwili usłyszał smutny głos Dolores:

- Cody, ja zawsze o tym wiedziałam, że... Gretchen nie była dobrą matką. Próbowalam z nią o tym rozmawiać, ale ona nie chciała słuchać. A przecież to ja ją wychowałam. Dlatego czułam się winna. Wobec ciebie. Wobec Sary. Dla-

tego byłam szczęśliwa, że chociaż mogłam wam pomagać. Teraz też chciałabym bardzo zająć się Sarą, ale wydaje mi się, że ty... ty nie chcesz.

Cody również i to przemyślał podczas bezsennej nocy.

- Nie chciałem, bo się myliłem. Nie gniewaj się, Dolores. Wiem, że kochasz Sarę. Ona też ciebie bardzo kocha i jesteście sobie potrzebne.

- Cody - w głosie Dolores słysząc było wielkie wzruszenie - czy to znaczy, że będę mogła czasami się nią zająć?

- Naturalnie. Co byś powiedziała na to, gdybym podrzucił ją do ciebie na parę dni? Może nawet teraz? Nazbierało się trochę pilnych spraw... O ile, oczywiście, nie masz innych planów.

- Moje plany? Jakże ja mogę mieć plany? Godzina na korcie? Brydż? Cody, dziecko jest najważniejsze. Kiedy można się was spodziewać?

- Dzisiaj?

- Cudownie! Czekam na was! Cody... - Głos Dolores spoważniał - dziękuję ci. Ja nie potrafię tego wyrazić, ale ta nasza rozmowa bardzo, bardzo dużo dla mnie znaczy.

Dla mnie też, pomyślał Cody. Dotychczas dzielił go od Dolores gniew, a teraz może zostaną przyjaciółmi. Tak jak tego chciała Lauren.

Przez całą drogę do Colorado Springs śpiewali z Sarą piosenki. Pomysł z wyjazdem do Dolores okazał się zbawien-ny. Dziewczynka rozpogodziła się. Była bardzo dumna i przejęta, że parę dni spędzi poza domem. Na widok babci rzuciła się jej w objęcia i Cody wiedział, że przynajmniej tego dnia wszystko zrobił dobrze. Zostawił numer pagera, na wypadek gdyby coś się działo i obiecał, że wieczorem zadzwoni. Potem wrócił do Birch Creek. Sekretarce udało się

zredukować wizyty do minimum i już o trzeciej podjeżdżał pod dom. Pod wieczór miał jeszcze wpaść do szpitala, ale teraz... teraz jego czas należał do niego.

Pobiegł na górę, za chwilę zbiegał już na dół, przebrany w dżinsy i czarną skórzaną kurtkę. Wyprowadził motocykl. Przemknął przez miasto, potem popędził szosą. Jak szalony. Czuł na twarzy wiatr, a w sercu wolność. I wspomnienie Lauren. Delikatne ręce, zaciskające się kurczowo na jego kurtce. Melodyjny głos. Nagle coś mignęło na szosie. Wieściorka, lis, może zabłąkany pies? Nie wiedział, co to jest, ale na pewno nie chciał tej istoty skrzywdzić. Skręcił kierownicą, jednak maszyna pędziła dalej, do przodu.

Kiedy kurz opadł, zorientował się, że leży na drodze.

Lewa noga była przygnieciona motocyklem. Odczekał parę minut, ostrożnie wy dostał się spod stalowej uwięzi. Zobaczył porwaną nogawkę i głęboką ranę na łydce. Zdjął kask i poczuł na twarzy ciepło. Krew. Bolało, kiedy oddychał. A więc ma również połamane zebra. Powoli, z trudem podniósł się z ziemi i nadludzkim wysiłkiem woli podniósł motocykl. Udało mu się wsiąść, ale motor nie zapalił. Zdjął kask, położył obok motocykla i starając się nie myśleć o bolącej nodze, ruszył szosą w kierunku Birch Creek.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Doktor Hastings, po opatrzeniu rany na nodze i zadrapań na rękach, zajął się teraz zebraми. Cody syknął.

- Niestety, mój drogi, jakiś czas musi boleć, sam wiesz najlepiej. A na tej nodze nie powinieneś stawać. Chyba mam gdzieś tu laskę, przyda ci się na jakiś czas. Powiedz, Cody,



co ci strzeliło do głowy, żeby iść taki szmat drogi. Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie? Przecież przyjechałbym po ciebie.

- Wiedziałem, że masz wizyty.
- A nie mogłeś zadzwonić do żony?
- Lauren... nie ma dzisiaj w domu.

Eli przystąpił teraz do przemywania twarzy Cody'ego i z przyzwyczajenia, żeby odciągnąć uwagę pacjenta, zabawił go rozmową.

- Jesteś bardzo zawiedziony?
- Czym?
- Że Lauren nie jest w ciąży.
- W ciąży?

Na twarzy Cody'ego odbiło się takie zdumienie, że stary doktor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Coś mi się zdaje, że nie trzymałem języka za zębami! No, Cody, gratuluję! Ta dziewczyna świata za tobą nie widzi, a dziecko z tobą to dla niej najpiękniejsza rzecz, jaka mogłaby się jej wydarzyć.

- Chyba już nie - bąknął Cody.

Ręka Eliego zawisła w powietrzu.

- Czy coś się stało?

- Tak, i to bardzo dużo. Widzisz, Eli, ja do tego małżeństwa podszedłem realistycznie, można powiedzieć, że praktycznie. A Lauren... Niestety, na temat małżeństwa mamy zupełnie odmienne zdania. Wiesz, ona jest inna niż Gretchen. Lauren jest ciepła, kochająca, tyle daje z siebie...

- Tak, wiem. Jest nadzwyczajna - przytaknął Eli. - Więc w czym problem?

- No więc, po tym małżeństwie z Gretchen przyrzekłem sobie, że teraz będę twardy. Żadnych uczuć, rozumiesz? Żeby znowu nie przegrać. Wczoraj wieczorem Lauren odeszła.

A ja zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje. Jakbym znalazł się w czarnej dziurze.

Starszy pan pokiwał znacząco głową.

- Mój drogi, sprawa jest jasna. Budzą się w tobie uczucia. Pozwolę sobie dodać: nareszcie. Powtarzam, budzą się w tobie uczucia i to o takiej sile, jakiej nawet sobie nie potrafisz wyobrazić.

- Eli, ale ja.... zrozum, dałem Gretchen wszystko, a ona to odtrąciła. Teraz to wszystko dała mi Lauren, a ja...

- A ty odtrąciłeś.

Cody uświadomił sobie, że doktor Hastings ma rację. Tak właśnie się stało.

- Tak, Eli.

Zabrzmiało to jak przyznanie się do winy. Doktor Hastings spojrział na niego i jeszcze raz pokiwał głową.

- Pójdę poszukać laski - powiedział, wstając z krzesła.  
- Potem odwiezę cię do domu. Pamiętaj, że ta noga musi odpocząć, nie wolno ci jej forsować. Aha, i wieczorem, oczywiście, zrobię za ciebie obchód.

Cody został sam. Jego myśli pracowały gorączkowo. I szukały w sercu. Tam było uczucie, było od dawna, od bardzo dawna. Ukryte, może zapomniane i oszukiwane. Teraz musi je wydobyć. Tak jest. To miłość. Miłość do Lauren.

Od kiedy? Czy pokochał ją, kiedy miała szesnaście lat, czy wiele lat później, gdy znów spotkali się w Birch Creek? Jedno wiedział na pewno: jaka jest Lauren. Dla jego dziecka, dla niego samego. Po nieudanym małżeństwie z Gretchen jego życiem zaczął rządzić gniew. I wtedy zjawiła się Lauren, dobra, kochająca. Wybaczyła mu, że kiedyś zranił jej uczucia. A on, konsekwentnie, robił to nadal. Kiedy bezmyślnie powtarzał słowa przysięgi, kiedy wątpił, czy Lauren potrafi pokochać jego dziecko. Ranił ją z lęku, ze strachu przed

własnym uczuciem, któremu świadomie kazał milczeć i które teraz nareszcie musi dojść do głosu.

Nie, nie może więcej oszukiwać samego siebie. Kocha Lauren, kocha tak, jak nigdy jeszcze nie kochał. Jego życie potoczy się dalej dopiero wtedy, kiedy znów zjawi się w nim ta cudowna kobieta. Czy przebaczy mu? Drugi raz?

Kiedy doktor Hastings wrócił z laską, Cody wiedział już dokładnie, co ma zrobić.

- Eli, czy mógłbyś mi pomóc?

- Zawsze możesz na mnie liczyć.

- Proszę, zawieź mnie do centrum MacMillanów.

- Cody! Powinieneś jechać do domu i położyć się!

- Później. Eli, ja muszę natychmiast zobaczyć się z Lauren, muszę jej wszystko powiedzieć.

- Ach, wy młodzi! - Starszy pan z rezygnacją machnął ręką. - Zawiozę cię, bo jeśli nie, to gotów jesteś polecieć tam na piechotę, nie zważając na przetracone żebra.

Deska kreślarska absolutnie nie była w stanie przykuć uwagi Lauren. Zresztą, nie tylko deska kreślarska. Nie była w stanie na niczym się skupić. Po prostu na niczym. Patrzyła w okno i w głowie czuła absolutną pustkę. Kiedy usłyszała, że ktoś otwiera drzwi, pomyślała, że to Rob. Skrzywiła się. Cały dzień dawał jej spokój, teraz jednak nie wytrzymał. Na pewno zada masę trudnych pytań, z których każde będzie bolało. Chwyciła szybko za ołówek, udając, że jest pochłonięta pracą.

- Lauren, możemy porozmawiać?

No tak, oczywiście Rob.

- Nie ma o czym.

- Nie ma o czym? Ni stąd, ni zowąd zjawiasz się u rodziców z walizką i oznajmiasz słodko, że zostajesz, dopóki nie

znajdziesz jakiegoś mieszkania. To jest nic? Przez cały dzień nie zamieniłaś ze mną ani słowa, a ja dziwnie jestem przekonany, że temat do rozmowy jest!

Wszystko wskazywało na to, że exposé brata nie uczyniło na Lauren żadnego wrażenia.

- Nie twoja sprawa - mruknęła, nie podnosząc głowy.

- Posłuchaj, siostrzko! Może to i faktycznie nie moja sprawa, ale jako twój starszy brat jestem zaniepokojony. Po prostu, wyglądasz wyjątkowo kiepsko!

Wiedziała, że nie ma sensu nadal się opierać, bo brat, jak zawsze, i tak wszystko z niej wyciągnie. Zresztą... zresztą dlaczego nie miałyby się mu poskarżyć?

- Bo to jest tak - powiedziała cicho, nie odrywając oczu od deski. - Cody mnie nie kocha. Mało tego, powiedział, że nigdy sobie na to nie pozwoli, żeby mnie pokochać.

Rob, choć nie spodziewał się niczego dobrego, był poruszony tym gorzkim wyznaniem.

- Lauren - zapytał łagodnym głosem - czy to ma coś wspólnego z jego pierwszą żoną?

- Tak.

- W takim razie sprawa jest jasna. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Zastosowałaś swoją starą metodę rozwiązywania problemów z Grangerem. Uciekłaś.

- Nieprawda!

- Prawda. Ty wciąż od niego uciekasz. Uciekłaś, kiedy całował się z Gretchen. Mówiłaś, że chciał cię zabrać na jakiś bal. Kto zdecydował, że nie idziesz? Ty sama. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, co by było, gdybyście jednak poszli razem na ten bal?

- Przecież on kochał się w Gretchen!

- Jesteś tego pewna? Przecież nie miał okazji sprawdzić swoich uczuć. Bo ty odeszłaś, z własnej woli.

- Wiedziałam, że nie mam żadnych szans.  
- To ty tak uważasz. Pamiętasz, jak wynikła ta sprawa z upadkiem Sary? Też wzięłaś nogi za pas.

- Chciałam spokojnie wszystko przemyśleć.

- To nieistotne. Ważne jest, że kiedy pojawia się problem, odchodzisz. Teraz też, walizka do ręki i do widzenia. Zrozum, dziewczyno, każdy facet będzie wtedy przekonany, że tak naprawdę wcale nie chcesz z nim być.

- Rob, po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

- Oczywiście, że po twojej. Jedno nie przeczy drugiemu. Lauren znów wbiła wzrok w deskę. Czyżby Rob, jak zwykle, miał rację? Czy ona rzeczywiście ucieka od człowieka, którego darzy najgłębszym uczuciem? Dlaczego? Czy dlatego, że gdzieś tam, w środku, ciągle jest przekonana, że nie jest warta Cody'ego Grangera? A może jej uczucie jest tak wielkie, że ona sama nie potrafi sobie z nim poradzić? Miłość do Cody'ego. Nigdy mu jej nie wyznała. Starła się ją okazać, ale milczała. Może... może on też?

Ktoś znów otworzył drzwi. Lauren podniosła głowę, przekonana, że to ktoś z rodziców. Na progu stał doktor Hastings, a obok Cody, wsparty na lasce. Z obandażowaną szczęką i ręką na temblaku. Przez dziurę w dżinsach widać było biel opatrunku.

- Na litość boską! - zawołała przerażona. - Co się stało?!

- Nic, Lauren, naprawdę nic - wyjaśnił pośpiesznie Cody.

- Oczywiście, że nic! - przytaknął doktor Hastings. - Twój mąż po prostu jeździł na motocyklu. Skutki tej przejażdżki są takie, jakie widzisz. Poszkodowany powinien teraz znajdować się w łóżku. Niestety, miał jeszcze dość siły, aby sterroryzować starego człowieka i kazać się przywieźć do szanownej małżonki. W każdym razie, gdybyście czegoś

potrzebowali - starszy pan wycofywał się już na korytarz - będą wachać begonie.

- Pozwolę sobie panu towarzyszyć - włączył się natychmiast Rob. - Jeśli potrzebny wam będzie rozjemca, wystarczy zawołać.

Kiedy zostali sami, Lauren siłą powstrzymywała się, żeby nie podbiec do męża.

- Cody, powiedz, co się właściwie stało? Czy bardzo cię boli?

Ujrzał niepokój wypisany na jej twarzy i pomyślał, że nie wszystko stracone. Może Lauren da mu jeszcze jedną szansę. Szansę, na którą nie zasłużył. Nie jest wart tej kobiety, która poślubiła go dla dobra dziecka, jego dziecka.

Panie Boże, daj, aby nie tylko dla dobra dziecka.

- Wpadłem w poślizg.

Podszedł bliżej, oparł się o biurko i od razu powiedział to, co powinna wiedzieć:

- Lauren, ja... ja po prostu byłem idiotą. Chciałem dobrze, a wszystko zrobiłem źle.

- Wcale nie, Cody. To ja nie powinnam była od ciebie uciekać - powiedziała miękko. - Nie był to najlepszy sposób, żeby ci okazać, ile dla mnie znaczysz. Ani nauczyć cię, żebyś znów uwierzył w miłość.

Ostrożnie, najdelikatniej jak potrafił, ujął jej twarz w dłonie, modląc się w duchu, żeby naprawdę było tak, jak chciał to zrozumieć.

- Lauren, ja wierzę w miłość. W twoją, którą okazywałaś mi tyle razy, a ja, głupiec, dopiero teraz to zobaczyłem. I jestem głupcem, skoro dopiero teraz do mnie dotarło, jak bardzo cię kocham.

Brazowe oczy, przez sekundę zdumione, zalśniły łzami.

- Och, Cody, naprawdę tak myślisz? Nie mówisz tego, żeby...

- Żeby nasze małżeństwo trwało nadal, tak? Ze względu na moje dziecko? Nie, Lauren, po prostu kocham cię.

Cudowna prawda zaczynała powoli docierać do Lauren.

- Cody, nasze małżeństwo to miał być układ.

- Układ? Przecież ty od razu wniosłaś do mojego domu tyle ciepła, tyle dobra. Powinienem dziękować ci na kolacjach, a ja nie chciałem otworzyć przed tobą serca. Tak, nie chciałem, ale ty sama mi je otworzyłaś.

Tama pękła. Teraz Cody przekonał się, jak łatwo jest mówić słowa miłości komuś, kogo naprawdę się kocha. I kto także kocha.

- Kocham cię, Lauren - mówił, zatapiając się w jej brązowym spojrzeniu - kiedy patrzysz i kiedy uśmiechasz się tak słodko i przede wszystkim do mnie. Jesteś dla mnie kimś ważnym. Jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, codziennie będę ci udowadniał, jak wielka jest moja miłość. Czy wrócisz do mnie, Lauren? Wrócisz, aby być moją żoną? Czy pozwolisz mi kochać cię do końca życia?

- Och, tak, Cody - szepnęła, zarzucając mu ręce na szyję.  
- Wrócę, żeby być twoją żoną. I nigdy już nie ucieknę.

Kiedy ją całował, cały świat wydał mu się nieskomplikowany, pełen radości i obietnic. A żarliwa odpowiedź Lauren na jego pocałunek zdradziła mu, że czeka go długie życie pełne prawdziwej miłości. Potem długo jeszcze trzymał żonę w objęciach i ścierał resztki łez z jej policzków.

- Zawiozłem Sarę na parę dni do Dolores. Zrozumiałem w końcu, skąd moja wrogość do niej. Po prostu chciałem ją ukarać za moje nieudane małżeństwo z Gretchem. Wyjaśnilimy to sobie.

- Myślę, że to duża rzecz. I wymagała odwagi.

- Przede wszystkim to ty jesteś odważna, Lauren - powiedział z uśmiechem Cody. - Bo pokochałaś mnie.

- To wcale nie wymagało odwagi. Cody, ja bez ciebie nie potrafię żyć - powiedziała cicho i już wiedział, że jego całe przyszłe życie będzie podporządkowane także temu, aby uczynić Lauren szczęśliwą.

- Chodź, kochanie - powiedział uroczyście. - Wracamy do domu

- Słusznie. Eli kazał zapakować cię do łóżka.

- Zgadza się, ale nie będę chorować sam.

- W porządku, jesteś lekarzem, wiesz, jaka kuracja jest ci potrzebna.

- Ta kuracja to ty, Lauren.

## EPILOG

W upalny czerwcowy dzień Lauren i Cody przechadzali się po pięknym ogrodzie, otaczającym nowy biurowiec w Denver. Ogrodzie, który zaprojektowała Lauren. Sukces był ogromny. Na uroczyste otwarcie przybyła cała rodzina MacMillanów. Cody miał wyłączony pager, a Dolores zabrała Sarę do siebie, żeby szczęśliwi małżonkowie mogli świętować sukces bez żadnych ograniczeń.

Stali teraz koło fontanny, otoczonej żywopłotem z bukszpanu, i patrzyli na Craiga Davisa, który zbliżał się do nich szybkim krokiem.

- Lauren, możesz być z siebie dumna! - wołał już z daleka. - Słyszę same pochwały. A ten pomysł z ustawieniem rzeźb od frontu był wprost genialny!



- Dzięki, Craig. - Uśmiechnęła się skromnie i spojrzała na męża. - Cody zawsze we mnie wierzył.

- Oczywiście! - Gestem właściciela przygarnął żonę do siebie. - Któż inny ma w ciebie wierzyć, jak nie rodzony mąż, prawda, Craig?

Teraz, kiedy wszystko ułożyło się szczęśliwie, Cody kochał cały świat i nawet do Craiga czuł odrobinę sympatii.

- Idę teraz wmieszać się w tłum - zakomunikował Craig. - Lauren, zadzwoń, kiedy już będziesz miała jakiś pomysł na ten ogród przy centrum sztuki.

Kiedy Davis zniknął za bukszpanem, Cody spojrzał na żonę z satysfakcją.

- No i wygrałaś. Masz nowe zlecenie.

Cieszyła się bardzo, ale teraz - bo ten dzień jest pełen radości - chciała mu koniecznie powiedzieć o czymś zupełnie innym, ogromnie ważnym. I wcale nie musi się to odbyć w przytulnej restauracji ani podczas uroczystej kolacji przy świecach.

- Cody, idziemy! - rozkazała, chwytając go za rękę.

- Dokąd mnie prowadzisz, dziewczyno?

- Zobaczysz.

Zaciągnęła go na małą ławeczkę koło zegara słonecznego. Padł następny rozkaz.

- Siadaj!

- Już siedzę.

- Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

- I koniecznie mam wysłuchać tego na siedząco?

- Tak, bo ta wiadomość zwali cię z nóg.

- To znaczy?

- Widziałam się z doktorem Hastingsem. Tym razem poszłam prosto do niego, żeby mieć pewność na sto procent.

- I co?!

Oczywiście, już się domyślał. W jego oczach była już prawie pewność.

- Tak, Cody, Sara będzie miała rodzeństwo. Wariacie, udusisz mnie! A ja muszę teraz bardzo na siebie uważać!

Tak, jego uścisk był wręcz niebezpieczny.

- Jesteś pewna, absolutnie pewna?

- Absolutnie. Zawiadamiam cię o tym wręcz oficjalnie. No jak, cieszysz się?

- Lauren, jak możesz w ogóle wątpić?

Promieniał. Tak, Lauren wiedziała, że jej życie z Codym jest takie, jakie sobie wymarzyła. Wydała następny rozkaz.

- Wracamy do domu!

- Kochanie, przecież jeszcze nie wszyscy złożyli ci gratulacje.

- Nie szkodzi. Teraz chcę być tylko z tobą.

- A ja z tobą, Lauren.

Wstali z ławki. Objął żonę ramieniem i przytuleni do siebie, poszli wolno ścieżką ku wyjściu.

- Cody, kiedy przyjdziemy do domu, zadzwonimy od razu do Sary.

- Dobrze, ale możemy poczekać do jej powrotu?

- Chcę, żeby dowiedziała się jak najprędzej.

- Nie martw się, Sara na pewno bardzo się ucieszy.

- Cody, czy Dolores i Eli mogą być chrzestnymi?

- Oczywiście. Tylko czy twoja rodzina się nie obrazi?

- Ależ skąd! Zresztą oni i tak będą się zachowywać jak cała banda chrzestnych!

- Eli i Dolores. Wydaje mi się, że to świetny pomysł.

- Cody aż przystanął. - Dolores poczuje się, jak prawdziwy członek rodziny. A Eli? Coś mi się wydaje, że ostatnio za często zaprasza panią de Witt do teatru!

- Prawda? - rozpromieniła się Lauren. - A jutro, kochanie, nasz dom będzie pękał w szwach. Zapraszam wszystkich. Rodziców, Roba, Kim, dzieciaki, Dolores przywiezie Sarę, a jak Dolores, to musi być i doktor Hastings. Biedaku, wytrzymasz to?

- Wytrzymam, wytrzymam. Dobrze wiesz, jak lubię, kiedy dom jest pełen ludzi. Dzięki tobie, kochanie, wiem, co to znaczy mieć rodzinę.

Lauren zamilkła na chwilę, po czym z wielką powagą zadała zasadnicze pytanie:

- Cody, a ile ty chciałbyś mieć dzieci?

- Moja ty matrono, - Uśmiechnął się z rozczeniem i spoglądając wymownie w niebo, rozwiązał problem. - Myślę, że wie to tylko ten Pan na górze!

Znów się objęli i zgodnym krokiem poszli przed siebie. Do domu, gdzie na zawsze zamieszkała miłość.